

Wies

tygodnik społeczno-literacki

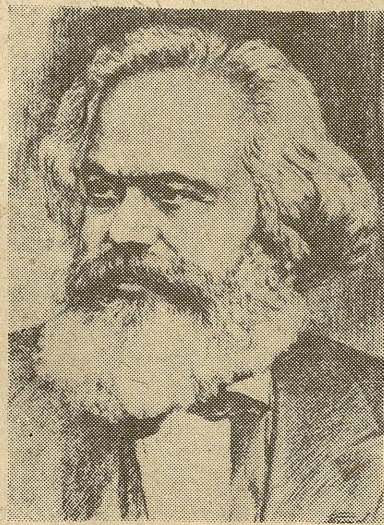
Rok X

Warszawa, dnia 10 maja 1953

Nr 19 405)

DYZMA GAŁAJ

PORUSZYLI Z POSAD ZIEMIĘ...



W 135 rocznicę urodzin
Karola Marksa

Wtedy, w 1889 r., gdy klasa robotnicza poraz pierwszy wybrała dzień do corocznego przeglądu swych rewolucyjnych sił, walczył kapitalizm młodzi już całym ciężarem chłopskiego potwierdzając tym w praktyce znane tezę Marksa o procesie proletaryzacji chłopstwa w warunkach kapitalizmu. Jeśli co do dalszych losów podstawowych mas chłopskich mógł mieć ktoś złudzenia, to na pewno nie burżuazja rosnąca na bazie koncentracji kapitałów (również w rolnictwie) i na pewno nie klasa robotnicza, którą Engels w tym mniej więcej czasie uczył właściwego produktu do chłopca — przyszłego proletariusza. Złudzenia co do trwałego poprawy swego losu mieli przede wszystkim sami chłopcy. Nie dziwne — ginący na pustyni wędrowniczymi wodami i soczystej zieleni drzew... Ten chłopski miraż podtrzymywany był skwapliwie i rozwijany przez rewizjonistów II Międzynarodówki, a także przez późniejszych wszelkich odmian oportunistów. Z drugiej strony ten chłopski miraż demaskowany był przez wodzów międzynarodowego ruchu robotniczego, zwłaszcza przez Marksa, Lenina i Stalina, a bezlitośnie i najokrutniej zrywany był z oczu chłopca przez samą praktykę kapitalistycznego rozwoju.

Burżuazji chodziło o to, by poprzez rewizjonistów wydrzeć chłopów międzynarodowemu ruchowi robotniczemu, by wbić klin między klasę robotniczą i chłopstwo, by przedstawić indywidualne gospodarstwo jako źródło wiecznych antagonizmów społecznych. Burżuazji chodziło o chłopstwo jako własne rezerwy przeciwko klasie robotniczej.

Proletariatowi chodziło o chłopstwo jako rezerwy przeciwko burżuazji i kapitalizmowi, chodziło o zwycięskie przeprowadzenie rewolucji, o wyzwolenie własnej i innych klas wyzyskiwanych przez kapitalizm. Proletariat ukazał podstawowym masom chłopów ich perspektywę: albo proletaryzację, albo zwycięską rewolucję socjalistyczną.

Rozmawiam nieraz z chłopami o naszym wczoraj i o naszym dziś. Nieraz słyszę się ich narzekania, że nie mogą kupić dostatecznej ilości maszyn, węgla, nawozów i tysięcy innych rzeczy. Że duże podatki i wysoki państwowy skup zboża. Te chłopskie pretensje i narzekania wciąż przypominają o dwójstronnej naturze chłopca, jako posiadacza i jako człowieka pracy. Ale ta dwójstronna natura chłopca daje również podstawę do tego, że olibrzymia większość pracujących mas chłopskich świadomie i chętnie kontraktuje, sprzedaje państwu, likwiduje odłogi, gromi kulacki rozpasanie, zakłada spółdzielnie, słowem — buduje w kraju socjalizm.

Po długiej i wyjątkowo trudnej dyskusji opowiadał mi kiedyś pewien średniak: „No, ja już wiem dlaczego u nas dziś nie ma długów i wiem, że dzisiaj jest lepiej. Nie ma długów, bo co tu teraz mówić o rodzinnych spłatach. Dzisiaj ojciec prosi swoje dzieci, żeby nie uciekały z gospodarstwa. Patrząc, co dzieje się u nas. Nawet proboszcz, taki zajadły wróg komunistów, przyznaje głośno, że przed wojną miał w parafii 5 — 10 „szkolników“, a dziś 200 — 300 osób uczę się w szkołach i to nie tylko na nauczycieli, jak kiedyś, lub na księży, ale mamy już inżynierów,

doktorów, pisarzy, redaktorów. A są przecież i tacy rozmaici fachowcy jak: elektrycy, traktorzyści i czorci nie wie jacy. Kto się dziś martwi o spłaty?”

Dotknął tu nasz średniak dwóch kapitalnej wagi zagadnień. Pierwsze, to sprawa chłopskich długów. Stoi ona prosto: przed wojną długi likwidowały chłopskie gospodarstwa, dziś długów tych na wsi nie ma. Stwierdzenie to wskazuje główne cechy epok. W kapitalizmie na ziemi chłopskiej gromadzi się dług (w wyniku używania, podatków, klęsk losowych, a nade wszystko w wyniku głodu ziemi i coraz częstszych działów rodzinnych), w kapitalizmie rosła nędza, zaoferowanie, głód i coraz gruntowniej zacierała się perspektywa chłopskiej przyszłości, której istotą nie byłaby zwierzęca walka o chleb, o malejący stale skrawek gruntu.

A dziś? W warunkach Polski Ludowej dalsze losy gospodarstw chłopskich nie są określone, jak niedawno, wysokością ciążących na nich długów, lecz ilością wyprodukowanych przez państwo ludowe maszyn rolniczych i stopniem politycznej świadomości chłopca.

Na polach kraja stalowe żuki traktory, chrząszcza sprężyste rurki siewników. Leje się w pulchną ziemię struga złota ziarna. Kwaklikiwane. Na sadzarkę patrzy z uśmiechem kobiety — chłopki. Poprzez ich uśmiech płyną słowa: „Pracuj, maszyna pracuj! Lepsza ty od trzypalczastej motyki w ręku piętnastu kobiet. Niech się świeci dzień twoich narodzin“. Smigają skrzydła snopowiaza. Pierwszy wyjazd kombajnu w pole ściąga pół powiatu Chłopi macają go oczami, podglądają, milczą. Szukają w kłosach ziarna, zanurzają głęboko dłoń w wory chłodnego zboża.

Urok maszyn, potężny rozwój naszego przemysłu, kultury i w ogóle całego życia społecznego — gospodarczego robi wśród chłopów swoje. Dojrzeją, założą spółdzielnię i to nie jako sprostowany, zmiażdżony przez kapitalizm chłop — niewolnik, chłop — analfabeta, chłop — właściciel i sprzedawca jednego swojego towaru — siły roboczej, lecz jako mądry chłop, jako pełnoprawny i bynajmniej niezadużony właściciel gospodarstwa, który rozumiał, że spółdzielcza droga jest najlepszą drogą rozwoju również dla niego. „W naszym zwycięstwie wasza nadzieja“ — mówili komunisty Paryża francuskim chłopom. Polscy chłopcy prawdę tę pojęli.

W kapitalistycznej Polsce na wsi było około 9 milionów tzw. „ludzi zbędnych“. Brakowało dla nich ziemi i pracy. W walce o byt za marne grosze, za buraczane liście, za lichy zagon kartofli lub lnu sprzedawali swoją siłę roboczą. Wilkiem patrzyli na każde nowonarodzone dziecko jako na jeszcze jedną niepotrzebną gębę do wspólnej miski. Ich kłótnie o centymetry miedzy, o najlżejsze kawałeczki

gruntu kończyły się często tragicznymi zabójstwami. Ich dzieci, jeśli już były, toczyła gruźlica, krzywica, głód, świerzb, wszawica, a starcy — rodzice w zniechęceniu, których modłiwych prosił bogi o rychłą śmierć, by niepotrzebni nikomu nie zjadali tak drogiego chleba. Emigrowali w poszukiwaniu chleba i ginęli duszeni w kopalniach Francji czy na szlakach wodnych wszystkich oceanów; dziesiątkowała ich malaria, rwali pazurami brazylijskie puszcze i pracą swą przysparzali bogactw i świętości kapitalistom całego świata.

A dziś? Ojciec prosi swoje dzieci, by któreś z nich zechciało pozostać na gospodarstwie. Dawniej „zbędni“ dziś w laboratoriach służą nauce i praktyce socjalistycznego rozwoju, zeglują po dalekich morzach roznosząc po świecie imię Ludowej Polski, wżerają się maszynami w kamienną ścianę węgla, budują piękne jasne domy. Wsłuchują się czujnie w grę traktorowego motoru, uczą się w wojsku ludowego patriotyzmu, a jako pisarze, aktorzy, malarze, śpiewacy dostarczają narodowi twórczych wzruszeń.

Czy jest dla dziecka chłopskiego taki dziś zawód, którego, jeśli go pragnie, nie mógłby osiągnąć? Nie ma. I dlatego młodzież chłopską porwano życie, urzekają horyzonty, wielkość naszej epoki. I dlatego młodzież chłopska stoi czujnie na straży zwycięstwa klasy robotniczej, pomagając jej zwycięstwo u-rzeczywistnić nadzieję chłopów.

Łańcuch kapitalizmu pękł w Rosji, a następnie u nas i w dzisiejszych krajach demokracji ludowej. W marszu dziejowym do komunizmu przewodzi nam Związek Radziecki. Jego przewodnictwo dotyczy nie tylko nas, ale całego świata. Jego przewodnictwo uczy cały świat walki o sprawiedliwość. Budują tam niezwykle potężne. Gigantyczne elektrownie, obrzemy kanały systemy irygacyjne na wielu milionach hektarów, pasy leśne, zbiorniki wód. Zmienia się klimat. Rośliny „pokorniej“ i rosną tam, gdzie nikt o nich nie słyszał, a gdzie kazał im rosnąć człowiek radziecki.

Budują tam potężnie również człowieka. Potęgą narodów radzieckich kierowanych wola Partii i Stalina zdumiała świat.

Tyle już lat myśl milionów ludzi biegnie i Mają do Moskwy i na Kreml. Po raz pierwszy w tym międzynarodowym dniu przeglądu rewolucyjnych sił zabrakło Stalina. Ale żyje wśród nas Jego dzieło. Żyje Jego nauka. Jego to nauka i praktyka przywraca chłopom prawo do życia, przywraca im godność, czyni z nich ludzi śmiało kroczących w przyszłość.

Niezachwiane bowiem jest dzieło Marksa — Engelsa — Lenina i Stalina. Bezczenna ich nauka, pozwalająca zrozumieć przeszłość i budować przyszłość, do której prowadzi partia.

JOZEF RATAJCZAK

NA WARCIE POKOJU

O zmierzchu, o zmierzchu co dzień,
gdy cisza można ogłuchnąć
klekam na tłusty czarnoziem
i czujne przykładam ucho.

Widzę: glob jak kielek rozkwitł,
by oddać owoce światu —
i serce mam pełne troski,
pięć zwartą w kształt granatu.

Bo słyszę: pęka horyzont
od grzmotu bomb nad Phenianem —
i w mojej wiosce nad Nysą
te grzmoty krwawią firmament.

I wiem. Także u mnie we wsi
trzeba jak krusze wiosła
łamać ramię najedźdzy,
aby się nigdy nie zrosło.

Trzeba budować prędzej,
prędzej budować i mocniej —
aby przez nasze ręce
płynęła treść przyszłości;

Abym za wiosną jak co dzień
mógł patrzeć w wieczoru ciszę
i słyszeć — kwitnie czarnoziem,
i tylko kwitnienie słyszeć.

WACŁAW PALIK

RADIOWEŻEL — OCEANEM INFORMACJI

PRZECZYTAŁIŚMY niemałą garsę listów, jakie napływają do redakcji z terenowych radiowęzłów. Wszystkie wskazują na jedno: lokalne stacje radiowe to nowa dziedzina pracy kulturalnej. Tak nowa, że prawie każdy kierownik radiowęzła i każdy jego zespół redakcyjny stoją dopiero u progu możliwości, nie ogarniętych jeszcze ani planem programowym, ani projektami, ani nawet marzeniem.

Z listów przemawiają do nas ludzie, którzy potrafili operować technicznie jednym z najbardziej cudownych wynalazków. Cieszą się jak dzieci, że ich radiowęzeł obejmuje — przeciętnie — 15 gromad i miasteczko; cała gmina w zasięgu studnia, z którego można przemawiać codziennie choćby 12 godzin, które pozwala gościć każdego dnia i o każdej porze prawie we wszystkich domach piętnastu gromad. Ale tu koniec radości. Radiowęzeł bywa wykorzystywany 2 — 4 razy w tygodniu od 10 do 20 minut. Dlaczego tak rzadko i tak krótko? Bo cud techniki to jedna dopiero strona zagadnienia; strona nadawcza i kilka, kilkanaście tysięcy radiodbiorników, kilkanaście megafonów publicznych, nadtym królestwem panuje kierownik — czarny Mógły wyprowadzić niejednego Rogowskiego, który na skup przywołał żywcem ponad plan. Nim Rogowski wróci do Małej Dąbrowki, już wiedziano w całym gromadzie i w innych, że radny świeci przykładem. Już inni radni drapali się za uchem, w czymby tu dorównać Rogowskiemu, bo inaczej wezmą ich w gromadzie na pytel i od przymówek zrobi się człowiekiem ciasto w rodzinnej wsi. Ale kierownicy choć mają gońców szybszych od jaskółek, choć słac ich mogą tysiące na elektrycznych skrzydłach, żalą się powszechnie na komitety redakcyjne, za brak „poczt“ — do lotu w eter. Tu się zaczyna drugie zagadnienie — węzłowe dla obecnych radiowęzłów.

Czego może i powinna oczekiwać od radiowej ludności gminy? W pierwszym rzędzie: wiadomości lokalnych.

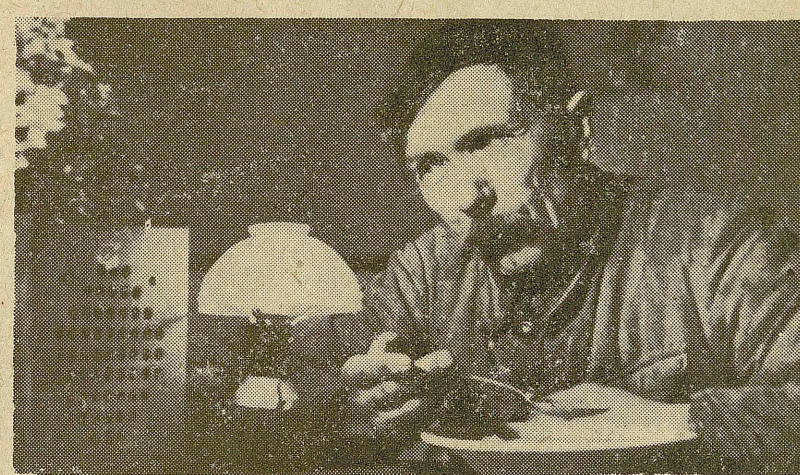
Pod tym względem radiowęzeł pełni funkcję gazety. Ale gazeta, to nie sam „Monitor“, ogłaszający przeróżne zarządzenia i obwieszczenia miejscowych władz i instytucji. Na tym poprzestać, to znaczy wypuścić rzecz najważniejszą: wiadomości o pulsującym i przemieniającym się życiu gminy.

W tym zakresie radiowęzeł nie wstępuje na puste pole. Przeciwnie, przeorała go długa tradycja pantoflowej poczt, „od sąsiada do sąsiada“. I bez radiowęzła ludzie wiedzą, co słychać w drugiej i dziesiątej wsi. Z tą tradycją „co słychać — od sąsiada do sąsiada“ radiowęzeł staje do współzawodnictwa. Przy nim zwycięstwo zarówno w szybkości jak i w powszechności przesyłanych informacji. Ale ta przewaga techniczna to jedynie środek, który powinien zapewnić daleko ważniejsze zwycięstwo. Zwycięstwo nad treścią i charakterem pantoflowej poczt, która urabiała i jeszcze urabia opinię publiczną.

Wiadomości z „rzemiennego dyzła“ albo „od sąsiada do sąsiada“ przypominają trochę stare kalendarze, w których miesza się groch z kapustą, rzeczy ważne i białe, w których górują „dziwy“, a panuje ograniczonosc: ukształtowana warunkami życia wsi w ustroju kapitalistycznym. Tradycje mówionej poczt jak wszelka ustna tradycja zachowują dużą siłę konserwatywną. A przecież ukształtował je klasowy interes dworu, plebanii, bogaczy wiejskich i sklepikarzy. Stąd nadawane wiadomości, to były „czolowe“, „oficjalne“ i „panujące“ wiadomości. One szły górą. Załóż i skarg biedoty, parobków i komorników nie obrałano na gościach. Milki w szeptach na miedzach i na zapłociu.

Trzeba sobie zdawać sprawę, że taka tradycja ustnej poczt i po wyzwoleniu, i po rewolucji nastawiała swe „rubryki“ na kulaka, plebanie, spekulanta. Co to znaczyło i jeszcze znaczy? Że w strefie zainteresowania na pierwszym planie nadal figurowały wiadomości o tym, co oni mówią i robią. „Nowym“ więc wydarzeniem bywało i bywa stare, wsteczne, wrógie. Historię w systemie pantoflowej poczt nadal „tworzy“ wróg klasowy, czemu najoczywiej zaprzecza nowa rzeczywistość i jej rozwój w każdej gminie.

Wiadomości „od sąsiada do sąsiada“ muszą w swej treści i charakterze ulec głębokim przemianom.



Wielka tu rola radiowęzła. On może i powinien ukształtować opinię na nowym podstawie klasowej tych właśnie mas mało- i średnioludnych chłopów, których dzieje przedwojenne nędza, ucisk i wyzysk, ciemnota i harówka — chadzały w „wiadomościach opłotkowych“ dołem — nie górą, cicho — nie głośno, ścieżkami — nie gościnnymi.

Bohaterem nowego życia stały się w gminie tysiące pracujących chłopów. Przy dyktaturze proletariatu w sojuszu robotniczo — chłopskim popłynęły naprzód dzieje tysięcy rodzin w każdej gminie. Zaczęła się historia tysięcy! W tradycji pantoflowej poczt jest to historia nowych ludzi, dla których brak w jej rejestrze rubryk, a w warsztacie narratorskim brak narzędzi, form i pojęć. Dlatego stary rynek i system gazety z „rzemiennego dyzła“ staje się dla odzwierciedlenia nowego życia nie tylko ograniczony i nieprzystający, ale w dużym stopniu wrogi.

Znamy tę walkę sprzeczności, kiedy nieraz te same usta powtarzają cudzą plotkę o „wspólnych kołach“, powtarzają więc kłamstwo chwalebne dawnych „bohaterów“ i dawnych „mecenatów“ pantoflowej poczt, a równocześnie snują bogatą, nie kończącą się opowieść o własnych trzech córkach i pięciu synach, z których każde zdobyło wiedzę, pracę i znaczenie w Polsce Ludowej.

Umiejemy w tej walce sprzeczności przyczynić się do pełnego zwycięstwa nowego życia. Nowe życie objęło tysiące rodzin w każdej gminie — tało się powszechnie i panujące. Masy chłopstwa mało- i średnioludnego są dziś gospodarzami gminy — wzmogły jak nigdy dotąd w historii swa aktywność polityczną ogromniadając się wokół rad terenowych i organizacji polityczno-społecznych, wzmogły swą aktywność gospodarczą ogromniadając się wokół spółdzielczości i biorąc na nią kurs. W dziejach prawie każdej rodziny chłopskiej dokonano się przełom, jakiego nie przeżyło żadne z minionych pokoleń. Wzłami krwi zrosła się bowiem dziś wieś z klasą robotniczą na wielkim placu budowy nowych kombinatów i gigantów. Te węzły krwi spletały miliony chłopów z milionami robotników, setkami tysięcy młodzieży, która zdobyła już wyższe studia, wieś wzniosła się na najwyższe szczyty naszego życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego.

Jakaż klasa, która przeżywa swój rewolucyjny awans, swoje masowe wzniesienie, nie pragnie i nie potrzebuje wiadomości o sobie? A kiedy dzieje się tak z podstawową masą ludności w każdej gminie — trzeba doprawdy być wyzbytym nawet cienia wyobraźni, jeśli się nie rozumie, że aby zaspokoić tak nienasycony i tak potężny głód wiadomości, radiowęzeł musi zamienić się w wezbraną rzekę, w ocean informacji.

Kto jest za tym oceanem informacji? Tysiące rodzin chłopskich w gminie. Może nie zdają sobie sprawy, że właśnie radiowęzeł mógłby spełnić to pragnienie. Ale o czymże innym świadczą miliony listów chłopskich do redakcji pism? Przeważają w nich żale i skargi? Tak. Bo pracujące chłopstwo wznosi się do nowego życia w walce i przez walkę z oporami i szkodnictwem wroga. Staje się bohaterem, wywalcza sobie tę pozycję: własnie na tej drodze potrzebuje kroniki, odnotowującej każdy krok jego marszu jako całości klasowej i terenowej, potrzebuje kroniki, odnotowującej zmiany i osiągnięcia w każdej nieomal rodzinie.

O informacje (o sobie!) dobija się godność tysięcy ludzi w każdej gminie, godność poniewierana przed wojną, a która dziś rozkwita i umacnia się. W tym parciu utwalić się pragnie i zapanować nowe, to wszystko, co w życiu każdej rodzi-

ny mało- i średnioludnych oznacza zmianę na lepsze zarówno w osobistym jak społecznym interesie.

I powiadam Wam, gdyby nie wy-mysłono wielu innych metod, to jedna wystarczyłaby: iść od domu do domu, a w każdej chałupie najwybredniejszy reporter zbierze wiążące informacje, które mówią o Walentym Sikorze mówią o czymś nowym, co jest wzorem walki, pracy i patriotyzmu socjalistycznego. I trzeba gromadzić „wagonami“ te informacje i trzeba godzinami ślać je ze studio radiowęzła do serc, łaknących jak miodu takich umacniających i mobilizujących wiadomości.

Gdzie tkwi trudność? Podobno w komitetach redakcyjnych, którym brak informacji, które nie rozumieją wagi zagadnienia.

Trudność tkwi głębiej i szerszą ma podstawę. Jeśli oskarżać, to najczęściej — cały aktyw gminny. A jest tu działacz etatowy i społeczny, całe dziesiątki, a nawet setki. Czegoż oni nie widzą codziennie? O czym nie słyszą? Te obserwacje i stwierdzenia przesuwają w części drogą urzędową „w górę“, w części topią na „poczcie ustnej“. Informacje, które w nowym ustroju dobijają się prawa i obowiązku upublicznienia, sami spychają na tradycyjny szlak „od sąsiada do sąsiada“. Ale na tym szlaku panuje wsteczna tradycja, odświeża nowe, a wypłapuje stare, potęgując jego rozmiar, aby straszyc i demobilizować.

Działacze gminni, nominowani i nie nominowani, od Was powinna się zacząć mowa: praca znoszenia i przesyłania informacji do radiowęzła. Dajcie mocny początek dziełu ugruntowania nowej publicznej opinii w gminie. Za wami pójdą tysiące. Będzie chłop pisał list, będzie „na gębę“ przekazywał wiadomości przez sąsiada jadącego do miasteczka. Będzie sam wstępował do radiowęzła.

Trzeba krytykować błędy, trzeba trafiać celnie we wroga i trzeba chwalić ludzi dobrej woli i wyjątkowej pracy, a tych jest tysiące w gminie. O takich proporcjach nie zapominajcie i pamiętajcie o tym, że nie w samym cudzie technicznym radiowęzła kryje się jego moc podniesienia każdej wiadomości do rangi publicznej, społecznie upowszechnionej.

Jego moc tkwi w tym, że posługuje się narzędziem, które jest w ręku mas pracujących.

I dlatego to co one ogłoszą w radiowęzle, ma siłę i znaczenie wypowiedzi prawdziwego gospodarza kraju.

Alle prawdziwy gospodarz, kiedy są ich tysiące w każdej gminie, nie może mieć wiadomości na 20 minut dwa razy w tygodniu.

To nie gospodarz. To ukrywacz wielkich owoców pracy tych tysięcy albo jolop który ich nie widzi i nie rejestruje w księdze ludowej buchalterii. Bo radiowęzeł — jak chcecie — to również księga buchalteryjna i każdy chłop całą duszą pragnie, aby wpisano do tej księgi gminnej chociażby jedna cyferka z jego trudu i szamotań, które koniec końcem każą mu dać coś ojczyźnie, coś podciągnąć, czymś się zasużyć.

Krytykujcie (po stronie — w-niem), ale nie prześpiajcie tych cyferek (po stronie — ma), bo nasze księgi buchalteryjne rosną gwałtownie w zyskach i osiągnięciach. W bilansach gminnych trzeba widzieć ludzi, tysiące ludzi i każdego nieomal osobno.

Nad tą funkcją gazety, pełnej wiadomości lokalnych, nad tą funkcją kroniki i księgi buchalteryjnej, w której odnotowywane są winia i ma każdego nieomal chłopca — nad tą pierwszą podstawową funkcją radiowęzła niechże się zastanowią działacze i aktywiści gminni.

O innych zadaniach i możliwościach radiowej pomocy następnym razem.

Wacław Palik

FRANCISZEK BRANISLAV

POZDROWIENIA DLA POLSKI

Takich pozdrowień nie wyrazić słowem,
Pieśnią wyśpiewać, dzwonami wydzwonić.
Spisz naszą pewność dokładniej wypowie,
Że nie rozłączy już wróg naszych dłoni.

Twój gniew buntarski, twych dzieci niedole
Pieśń wyśpiewała przez lata cierpienia.
Po tysiąc razy krwią broczyło pole.
Krew zesłała w ziemię i grzęzła w korzeniach

Nic więc dziwnego, że dzisiaj z tej ziemi
Jak bystry płomień błysnął kwiat czerwony
I łan Twój szumi kłosaми bujnymi
I wyda jutro nieprzebrane plony.

Niech spisz przekazuje nasze pozdrowienia.
Kiedy na pola twe patrzeć zielone,
Jest w mym spojrzeniu tyle rozrównienia,
Jak gdybym patrzył w oczy narzeczony

1950 r.

przeł. z czeskiego T. Chrócielewski

JULIAN STAWIŃSKI

A JEDNAK SIE OBRACA!

CALY aparat tortur, jakim inkwizycja papieska zmusza Galileusza do potępienia twierdzeń Kopernika, opadł bezsilny wobec potęgi myśli ludzkiej. „A jednak obraca się!” — okrzyk astronoma przetrwał stulecia, gdy z władztwa ciemnoty została w historii tylko plugawa grudka błota. Człowiek bowiem władny jest słońce wstrzymać i poruszyć ziemię, stać się panem stworzenia, ale wówczas jedynie, gdy dotrzymuje kroku rzeczywistości. Może ją zmieniać, nie może jej zaprzeczać. Fakty są uparte.

Te oczywiste prawdy warto dzisiaj przypomnieć. Po trosze z tej przyczyny, że rok mamy kopernikowski. Przede wszystkim jednak dlatego, by w osną rocznie rozgromienia faszyzmu, gdy nad światem rozbiły się pierwsze, blade jesiennie promienie jutrzeńskie, powiedzieć sobie, że Ziemia się obraca i dzień nastanie po nocy, cokolwiek uczynią i cokolwiek pragną panowie wojny.

Rzecz jasna, nie przyjdzie to samo. Rzeczywistość ludzka tym różni się od przyrody, że nie jest samoczynna — kształtuje ją wola człowieka. I właśnie powszechność tej woli, wytrwałość jej i napięcie sprawiła, iż widac już teraz zarysy trwałego pokoju.

Był dzień 9 maja 1945. Moskwa święciła zwycięstwo światła nad krwawym mrokiem. W zaciśniętych ambasadach atomowego Stanów Zjednoczonych, George Kennan, sycząc z pogorą: „Cieszą się... Myślą, że wojna już skończona. Oż, dopiero się zaczyna”. Dziś prezydent tego samego państwa, którego polityka od osiem lat cieniem śmierci zawisała nad ludzkością, oświadcza głośno i wyraźnie: „Domagamy się prawdziwego i zupełnego pokoju w całej Azji, podobnie jak w całym świecie... Żadne ze spornych zagadnień, wielkich czy małych, nie jest nierozwiązalne, o ile istnieje wola uznanowania praw wszystkich krajów”.

Jakże dokładnie, jak niemal co do litery słowa te pokrywają się ze słowami premiera Malenkowa: „Nie ma takich spornych lub nierozwiązalnych zagadnień, których nie można by rozwiązać drogą pokojową na podstawie wzajemnego porozumienia zainteresowanych krajów”. Prezydent Eisenhower głosi więc zasadę, która była zawsze kamieniem węgielnym polityki ZSRR, i odrzuca politykę wojny, którą od dwóch blisko stuleci uprawia najkrwawsza, najbardziej wroga burżuazja świata.

Czy na pewno, czy istotnie odrzuca? Zdawałoby się, że tak. Bo oto prezydent wymienia pięć przykładów, które oddają mając być drogowskazem dla Stanów Zjednoczonych: „1. Żadnego narodu — jako narodu — nie można uważać za wroga, albowiem cała ludzkość pragnie pokoju, braterstwa i sprawiedliwości; 2. Żaden kraj nie może osiągnąć trwałego bezpieczeństwa i dobrobytu będąc w izolacji, nie może tego osiągnąć inaczej jak w czynnej współpracy z innymi braćmi krajami; 3. Każdy kraj ma nieodwołalne prawo stworzenia według własnego wyboru formy rządów i ustroju gospodarczego; 4. Nie może być usprawiedliwiona żadna próba jakiegokolwiek kraju narzucenia formy rządu innym krajom; 5. Żaden kraj nie może oprzeć swej nadziei trwałego pokoju na wysięgu zbrojeń”.

Piękny program! Każdy z nas mógłby podpisać go oburącz. Unas — ale nie w USA. Tam bowiem za głoszenie takiego właśnie programu setki obywateli skazywane na długie lata więzienia i mowa prezydenta nie otwiera im bram wolności. Tam właśnie ów program nazwany komunizmem, uznano za zbrodnię przeciwko bezpieczeństwu państwa i nstawiono na ściganie go cały olbrzymi aparat policyjny. Tam również, choć prezydent mówi o swobodnym „rażeniu” idei, kat Korei, generał Van Fleet, oświadczył w senacie: „Jedynym dobrym komunistą jest komunistą nieżywy”. A przyklaskują mu wpływowi bardzo politycy i jeszcze bardziej wpływowi milionerzy. Tam nawet najwyżsi dygnitarze

państwa, ci, w których ręku leży ster polityki, urzędów swoich nie mogą sprawować bez zezwolenia policji. John Foster Dulles nie u Kongresu, nie u wybranych ludu szukał votum ufności, ale u tajników. I w szybkości, z jaką wydali mu certyfikat, upatrywał tytuł do chwały.

Prezydent Eisenhower swój mandat ma od narodu. Sądzić więc wolno, a nawet sądzić należy, iż stoi on ponad FBI. Ale to jeszcze nie wszystko. Nad FBI są wielkie monopole, ich przedstawiciele zasiadają w rządzie, ich wyznaniem wiary jest wojna. Czy to im przeciwstawiać się prezydent proklamując program pokoju i stwierdzając, że pragnie go cały naród amerykański?

Tu zaczyna się ogarniać nas wątpliwość.

Monopole Ameryki uważają za wroga każdy naród, który odmawia płacenia im nieograniczonej daniny zysków i cła czadaw przemocy, ruchy wolnościowe narodów Azji i Afryki walczących o niepodległość, braterstwo różnych kultur i sprawiedliwość społeczną. A już szczególną wrogością darzą monopole 800 milionów ludzi, którzy zrzucili ich jarzmo.

Prezydent Eisenhower postawy tej nie potępia, skoro np. w Vietnamie widzi agresję wietnamską, nie zaś francuską.

Monopole Ameryki widzą gwarancję dobrobytu dla siebie w wyzysku innych krajów, w odmowie innej współpracy jak na zasadzie lenna. Dla podboju krajów Europy ukuty plan Marshalla, a punkt 4 Trumanu służy im za narzędzie uciśnienia krajów zależnych i kolonialnych.

Alle prezydent Eisenhower postawy tej nie potępia, skoro wysuwa projekt rozszerzenia planu Marshalla na cały świat.

Monopole Ameryki żądają wydania polskich fabryk dawnym fabrykantom, oddania polskiej ziemi dawnym obszarnikom, powrotu pruskich junkrów na Śląsk i Mazury, zrównania z ziemią Żerania i Nowej Huty.

I prezydent Eisenhower żądał tych nie potępia, skoro domaga się od Związku Radzieckiego, by współdziałał w ich urzeczywistnieniu.

Monopole Ameryki utrzymują faszyzm w Hiszpanii, narzucili faszyzm w Grecji, popierają faszyzm w Jugosławii. Torują mu drogę we Francji i Włoszech i Niemczech zachodnich. Obalają i narzucają rząd w wszystkich republikach Ameryki Łacińskiej. Pół globu zasiłają tryścianem baz wojennych, by wesprzeć władzę swoich marionetek.

Lecz prezydent Eisenhower działał tych nie potępia, choć dosyć trudno przyjąć, by o nich nie wiedział.

Monopole Ameryki wszystkie swoje nadzieje pokładają w wojnie, opierają na długotrwałym wysięgu zbrojeń. W sojuzie z Wyszynątem Adenauera buduje na nowo armię hitlerowską, w Paryżu

sekretarz stanu Dulles domaga się dla Bonn hegemonii w Europie grożąc w razie odmowy cofnięciem wasalowi pomocy przeciwko ludowi Francji.

A prezydent Eisenhower polityki tej nie potępia, skoro oświadcza „gotowość dalszej realizacji tych planów”.

Czy jednak należy stąd wnosić, że cała mowa jest aktem propagandy? Nie. Prezydent Eisenhower sam na to pytanie udzielił odpowiedzi: „Pragnienie pokoju jest nazbyt wielkie, godzina dziejów zbyt późna, aby jakikolwiek rząd mógł drwić sobie z nadziei ludzkich, ograniczając się tylko do słów, obietnic i gestów. Sprawdziany prawdy są proste. Przekonywać można tylko czynami”.

Od zakończenia zmagania z faszyzmem wszystkie niemal czyny w polityce USA były aktami wojny i agresji, przemocy i gwałtu, lekceważenia traktatów i zobowiązań międzynarodowych. Ale przez 3-4 lat długi i mrocznych zdołano kryć przed narodem amerykańskim źródła międzynarodowych konfliktów, maskować przed nim istotną naturę imperializmu Stanów Zjednoczonych. A wyzerpane wojną narody Zachodniej Europy nie miały dość sił, by napór jego odeprzeć. W jarzynie kapitalizmu kula ziemska zdawała się nieruchomieć.

A jednak się obraca! Sprawdziany prawdy istotnie są zbyt proste, by prawdę można ukrywać w nieskończoność. Fakty są uparte i dochodzą do głosu.

Faktem, upartym faktem jest rosnąca bez przerwy potęga socjalizmu. Osiem lat temu zastaliśmy zbrodniczych w generałskie szewrony pogrobowców Hitlera. Śmiercią handlują lądajacy, szukają jej tylko strachu. A naród amerykański jest młody, spragniony życia i widzi w nim cele bardziej rożległe niż groby masowe, choćby najwspanialsze. Mówi to coraz głośnie i nie porwya za broń na wiadomość, że Chase National Bank utracić może wkrótce resztę wpływów na Dalekim Wschodzie. Spod sztandaru dolara uchodzą nie tylko rekruci azjatyckcy. Uchodzą Europejczycy, a nawet Amerykanie. I to także są fakty, tym boleśniejsze, że bliższe.

Rozeszły się nasze drogi — mówi prezydent Eisenhower. Istotnie, rozszły się drogi, ale nie dwóch światów. Rozeszły się drogi narodów i burżuazji. Wszystkich narodów ziemi i wielkiej burżuazji coraz bardziej, coraz zupełnie osamotnionej.

Długo, niezmiennie długo, rząd mianowany przez monopole Ameryki drwił sobie z nadziei ludzkich ograniczając się wyłącznie do słów, obietnic i gestów. Aż kłamstwo straciło wartość obiegową. Nikt nie uwierzy obecnie, że król Kambodży został komunistą i agresorem wobec własnego kraju, ośdak domaga się jego niepodległości. Pragnienie pokoju istotnie jest nazbyt wielkie, aby narody można zbywać licznymi frazesami.

Pragnienie, to zresztą termin niedokładny. Świat żyje dziś wolą pokój, twarzą i stanowczą. Na woli i siłę za nią stojące oparte są nadzieje ludzkości.

Julian Stawiński

NIEMIECKA PIEŚŃ LUDOWA

Nieraz w Niemczech awanturnik
Dosiadł władzy i jał brykać.
Nieraz wodził za nos durni
Odnawiał jakiś, krzykacz.
Dobrze o nas to świadczy,
Lecz mógł zawsze myśleć świat:
Cóż, ci ich niemieccy władcy,
Ludzie na swój sposób rządzą,
Ale ten, ten akurat?

Gdyby wraz z krytyczną porą
Ktoś w tym stylu się wynurzył,
Jakiś domorosły prorok,
Wybujały w czasie burzy...
Takim zbuntowanym wieszczom,
Co chcą zburić dawny ład,
Jeśli tłumy „wiwat” wrzeszczą,
Można to zrozumieć jeszcze,
Ale ten, ten akurat?

*) Wiersz ten typowy dla Weinerta należał do najbardziej popularnych jego utworów. Z ulotek podziemnych poznaly go dale Niemcy. Erich Weinert był przede wszystkim satyrykiem. Pisał na gorąco, często tuż przed zebra-
niem, na którym miał wystąpić.

STANISŁAW WYGODZKI

ERICH WEINERT

Nie znałem osobiście Ericha Weinerta, nie udało mi się z nim nigdy zetknąć, jakkolwiek pragnąłem tego bardzo. Zaledwie rok temu, będąc w Berlinie stałem niemal u progu jego niewielkiego domku, w którym zamieszkał niedawno, ale do spotkania znowu nie doszło. Erich Weinert był już wówczas ciężko chory i nie chciałem mu przeszkadzać.

Zacząłem od tego osobistego wspomnienia, ponieważ zmarły niedawno wielki niemiecki poeta rewolucyjny należał do tego kręgu osobistości, które pragnęło się znać z bliska dla ich ludzkiej i społecznych cech, dla ich odwagi i działalności, mającej wielki wpływ na dzieło narodu niemieckiego. Znałem to nazwisko od wielu lat, jeszcze wówczas, gdy burżuazyjna republika weimarska potrafiła zawsze w porę wezwać policję i wojsko przeciwko lewicy, przeciwko klasie robotniczej, natomiast nie potrafiła stworzyć tamy przeciwko brunatnej fali faszyzmu.

Wtedy to, w okresie uporczywych bojów klasowych, w toku wielkich strajków i manifestacji, gdy krew robotnicza barwiła ulice i place Berlina, Hamburga, Essen, Monachium, Kilonii, gdy socjaldemokratyczny prezydent policji w rodzaju Noskego i Zörgiebla dowodził bandą, rzekomo „ponadpaństwową i ponadpartijną” policją, nazwisko Ericha Weinerta było jednym z najpopularniejszych w Niemczech. Był jednym z tych poetów, którzy wyrosli z klasy robotniczej, z nią związali swoje losy, jej poświęcili swe życie i działalność, swoje pióro i myśl, swoje uczucia niepodzielnie: nienawiść i miłość.

Już jego droga życiowa była niewymownym świadectwem jego przynależności klasowej. Nie odstępował ani na krok od partii komunistycznej, był w czołówce twórców związanych z KPD i u jej boku wytrwał do końca. A była to wszak droga niełatwa, pełna niebezpieczeństw i gróźb, trudów i poświęceń. Rewolucyjnemu poecie groziło nie tylko więzienie, twierdza; groziła mu kula w ulicznym starciu, groziła śmierć skrytobójcza.

Erich Weinert był jedynym bodaj poetą niemieckim, którego droga twórcza przebiegała bez załamania. Był symem proletariatu i pozostał mu wierny do ostatniego tchu.

Liczne były zasługi Weinerta. On stworzył w Niemczech typ wiersza agitacyjnego nawiązując do twórczości Heinego, do wielkich szlachetnych tradycji poetów z okresu 1848 roku; on uprościł język poetycki; on podjął walkę ze zjawiskami burżuazyjnej poezji schyłkowej, gnijacej. Dlatego nienawidzili go mieszczańscy i burżuazyjni krytycy, nie istniał dla nich, nie dostrzegali go. Oczywiście za niechęcią do poezji Weinerta kryła się nienawiść klasowego wroga, który, odrzucając nową estetykę Weinerta, walczył w gruncie rzeczy z rewolucyjną ideologią wielkiego poety.

Znaliśmy Weinerta w latach dwudziestych i późniejszych z prasy komunistycznej, drukował swoje utwory pełne aktualności na łamach „Rote Fahne”, „Arbeiter Illustrierte Zeitung”, reagował szybko, z mięsca, niejako na wszelkie wydarzenia polityczne, zarówno z zakresu polityki wewnętrznej jak i zewnętrznej, pełen pasji i gniewu, pełen poręczności młodzieńczej, szlachetnej w swej czystości ideowej i wielkiej w swym poświęceniu partyjnym. Jeżeli był w Niemczech wielkim niemieckim poetą partyjnym w najwznioślejszym, w najpełniejszym tego słowa znaczeniu — to był nim Erich Weinert.

Umiął poezją swoją reagować natychmiast — to znaczy, że tkwił w najostrejszym ogniu walki klasowej; umiał przemawiać ostro i gwałtownie — to znaczy był najgłębiej przepełniony wiarą w zwycięstwo proletariatu; umiał bić czoła słowem celnym i ciętym, kąpić cym i drwiącym — to znaczy wiał tak umiejętnie dialektyką walki klasowej, że wróg go nie cierpiał i obawiał się jego wielkości. Erich Weinert był piewą klasowej go Października i Kraju Rad — to znaczy, że był patriotą, widział bowiem jasno drogę, którą kroczyły po winna niemiecka klasa robotnicza, rzecznicza interesów najszerszych mas narodu.

Walczył z burżuazją, z imperializmem, ale nigdy nie zapominał o agenturze w łonie klasy robotniczej — walczył więc ze zdraziecką socjal — demokracją i tu znowu zdał w pełni egzamin życiowy, artystyczny, ideowy. Erich Weinert stworzył ośrodek, wokół którego grupowała się coraz większa, coraz liczniejsza rzesza twórców związanych na śmierć i życie z walką niemieckiej klasy robotniczej. Erich Weinert stworzył nowy typ twórcy, pisarza, agitatora. Nie brakło go na żadnej większej demonstracji robotniczej Berlina, gdzie się urodził, żył i pracował. Na estradach popieszczone sklepanych, na placach, na boiskach, na przedmieściach zjawiał się nie jako poeta uzupełniający wierszem akcję polityczną. Był samą akcją, stanowiąc jej trzon, jej najgorętszy moment. Słuchali go nie tylko komuniści. Również robotnicy socjaldemokratyczni, posłuszni jeszcze swemu oszukańczemu kierownictwu, na dźwięk nazwiska Weinerta stawali w jednym szeregu z komunistami i to należy poczytywać za naj-



większe osiągnięcie, za największe zwycięstwo Ericha Weinerta: wykuwał jedność czynu proletariatu. Potrafił zagrzewać umysły i serca. Był najpopularniejszym poetą robotniczym. Jego pieśni przdestawały się poza granice Niemiec, śpiewano je w Związku Radzieckim, w Czechosłowacji, w Polsce, we Francji. Czytelnicy nasi z niechęcią zdziwieniem dowiedzą się zapewne, że słynna pieśń śpiewana również u nas na wiele lat przed wojną, pieśń pod tytułem „Czerwony Wedding” z refrenem, w którym się powtarzają słowa „Rot Front, Rot Ront” jest pióra Ericha Weinerta.

Był również znakomitym tłumaczem i nie przypadkowo przyswoił niemieckiej klasie robotniczej wiersze Eugeniusza Pottiera, twórcy tekstu nieśmiertelnej i zwycięskiej „Międzynarodówki”, tłumacząc z francuskiego utwory najwybitniejszego poety Komuny Paryskiej. Rozumiemy, dlaczego Weinerta zachwyciły ostre, cięte, nieustępliwie słowa „Pottiera”. Była to przecież wczesna poezja proletariacka. Turmachy również Majakowskiego i teraz dopiero mamy pełny obraz poety: rewolucjonisty, internacjonalistę, łączącego swoją twórczością miliony, pierwsze boje klasowe proletariatu z czasami nowymi, gdy bój skończył się zwycięstwem. Był aktywny i pisał po ostatni dzień swego życia.

A było to życie bogate. Po walkach w republice weimarskiej, potem gdy Hitler owdziałał Niemcami, Weinert uchodził z ojczyzny, a gdy zapłonęła walka w Hiszpanii, znajdujemy go wśród bojowników o wolność ludu hiszpańskiego. Tam tworzył pieśni śpiewane przez brygady międzynarodowe, pieśni, które przetrwały po dziś dzień, pieśni zachęcające i nawołujące do walki. Uczestniczył w batalii hiszpańskiej rozpoznał ich po całym świecie.

Wojna zastaje go w Związku Radzieckim, ale tam, gdzie się toczy bój z faszyzmem, tam, obok innych komunistów niemieckich jest również Weinert. Pisuje ulotki, wiersze, przemawia przez radio, agituje, oddaje sprawę walki z faszyzmem całą swoją wiedzą, całą swoją zapalą urodzonego agitatora, całą swą umiejętność przemawiania do uczuć i przekonań. Jego utwory z tego okresu to pociski wymierzone w serce wroga. Gdy pod Stalingradem wielotysięczne armie hitlerowskie wdręją do niewoli, jemu, poecie agitatorowi, Komitet Narodowy „Wolne Niemcy” powierza pracę uświadomiacza wśród wziętych do niewoli i po raz pierwszy w życiu wyjaśnia oszukany i obalaconym, kto jest wrogiem narodu niemieckiego i kto pchnął go do katastrofy. Przyjaciel i współpracownik Ernesta Thälmana i Wilhelma Piecka, poeta Erich Weinert nie zawodził nadziei. Dobrze spełnił swoje zadanie, zadanie poety-rewolucjonisty.

Po zakończeniu działań wojennych wrócił do kraju. Strany i schorowany nie przestał pisać. W uznaniu jego zasług dla sztuki narodowej, w uznaniu jego olbrzymiego wysiłku w walce z odradzającym się faszyzmem i militarizmem, o jedność Niemiec, o przyjaźń między narodami, został dwukrotnie odznaczony narodową nagrodą literacką.

Odszedł poeta, który nie umiał oddzielić dzieła swego życia od osobistej walki o wolność swego narodu. Erich Weinert widział klasę swego narodu, ale był świadkiem zwycięstwa Rewolucji Październikowej, widział jak naród radziecki przystąpił do budowy komunizmu i był przy tym, gdy naród niemiecki w jednej nocy części swego kraju przystąpił do budowy socjalizmu. Zabraknie teraz jego głosu, jego grzmiącego słowa nawołującego do dalszej walki, do nowych wysiłków, ale zostali poeci, którzy się od niego uczyli — ci podejmą jego dzieło, aby wspólnie z klasą robotniczą Niemiec doprowadzić do realizacji dzieła, któremu Erich Weinert poświęcił swoje piękne życie i niepospolicie talent.

Państwowy Instytut Wydawniczy, zamierzający wydać zbiór wierszy Weinerta w przekładzie na język polski, powinien wiersze zmarłego poety najszybciej przyswoić naszym czytelnikom.

Stanisław Wygodzki

Przełożył Tadeusz Polanowski

KRYSZYNA PAŁYS

KRAJOBRAZ ODMIENIONY

WYBIERAMY się z Podlasiakiem, inż. Maksymkiem i jego kolegą do Perkowic. Po wstąpieniu do wsi w zeszłym roku zrzucenie uprawy łąk. Maksymiek to człowiek młody, szczupły o niebieskich jak jesienne niebo oczach, mówi cicho i niewiele. Ukończył niedawno Wydział Rolny Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

— Początkowo nie chcieli ludzie z nami rozmawiać, bywało i tak, że zabierali się do wypędzania nas kijami. Dopiero gdy na własne oczy zobaczyli, co daje melioracja, poszli do głowy po rozum — opowiada kolega Maksymki — Osowski. — Przyjeżdżam do jednej wioski i zastaję na brzegach bagniska z osiemnastociu chłopów. Pytam czy będziemy meliorować, a oni na to: Nie! Łąki tylko nam rozjeżdżacie wozami z ziemią i nawet takiej trawy jak dotychczas nie będzie. Ale to już stare historie, dzisiaj tak nas nie przyjmują, bo widzą jaką trawę rośnie na zmeliorowanej łące. Mnóstwo pochwał od ludzi zbiera kolega Maksymiek bo to „łaskarz”, on wieńczę moje dzieło, orze i sieje szlachetne trawy, dlatego go chętniej we wsi widzimy.

Skręciliśmy w wiejską ulicę. Kobiety grabiły podwórze z rozstrzęsionymi słonami, tu i ówdzie krowy pily wodę z koryt przy studniach, czasem przez okienko wycięte w ścianie stajni wyciągały głowę koń wieszac w powietrzu wionę. Niebogała wioska te Sierpice, ale czysto w niej jak w pudełku.

Solitysa wyciągnęliśmy z szopy.

— Chociaż zapowiedziałem zebrać na nie piątą, ludzie zjeżdżają się dopiero po obrządku bydła. U nas obrządek najważniejszy — i podrapały się w zakopotańcu za uchem.

Trzeba było czekać. Zabrałam się więc do lektury monografii pow. białskiego, którą napisał sanacyjny wicestarosta, niejaki mgr. Górny. W rozdziale o rolnictwie autor podaje, że do roku 1939 uregulowano 13 i pół kilometra brzegów Krzny, oraz 2 i pół jej dopływów — Zielawę. Przyznaje, że po zmeliorowaniu mokradł w powiecie, dochodowość wzrosła o pięćdziesiąt procent (wobec dotychczasowej), zaraz jednak dodaje skwapliwie: „W obecnych warunkach ekonomicznych na wydatkowanie rocznie około dwóch milionów złotych na akcję melioracyjną nie może sobie pozwolić ani skarb państwa, ani samorząd, ani ludność powiatu, jak również wszystkie te czynniki wspólnie”.

Nie mogli sobie pozwolić! A w tym roku przeznaczono na roboty melioracyjne w Lubelskim 60 milionów złotych. W dwudziestu latach istnienia Polski sanacyjnej zagospodarowano po zmeliorowaniu 200 hektarów łąk. Zgadza się z tym, co pisze wicestarosta. Powiat białski ma 200 tys. ha powierzchni. Melioracji wymaga 70 tys. ha w dorzeczu Krzny i 20 tys. ha nad Zielawą (jej dopływ). W roku 1952 zagospodarowano 550 ha, w r. 1953 zagospodaruje się 800 ha. Teraz jest w powiecie 2.500 ha zagospodarowanych a 10 tys. ha zmeliorowanych łąk — czyli że w kilku latach istnienia Polski Ludowej zrobiono więcej niż w dwudziestu latach rządów sanacyjnych. Przed wojną było w powiecie białskim wszystkich pięć spółek konserwacyjno-wodnych, dzisiaj jest ich 21 i nie ma tam gminy, w której nie byłoby takiej spółki, a obejmują łąk 98 tys. ha.

Koło godziny ósmej skrzypnęły drzwi po raz pierwszy i jeden za drugim zaczęli ścigać gospodarze w baranich koczach, gdyż pod wieczór ciągnęło od rzek wilgoć. Perkowice leżą bowiem w widłach Krzny i Zielawy. W półmroku rozpyły się tury, zamazywały twarze. Siadano na deskach pod ścianą i na ławkach pośrodku izby. Dla kogo nie starczyło miejsca, stawał pod chłodnym piecem.

Z tego, co mówił Osowski do kilkudziesięciu gospodarzy, dowiedziałam się, że grmada Perkowice otrzynała siewnik łąkowy od Rejonowego Kierownictwa Robót Wodno-Melioracyjnych w Białej za meliorację i zagospodarowanie łąk. Chłopi z Perkowic byli obowiązani w zeszłym roku przeprowadzić w ramach szarwarku roboty wartości 4 tys. złotych, a wykonali za 21 tys. Ponadto w czynnie melioracyjnym splanowali ziemię nad wykopanymi rowami, wykarczowali pniaki, wykopalili rowki odwadniające, tzw. „kinetki”. Wartość tych robót oszacowano na 11 tys. złotych. Razem gospodarze z Perkowic włożyli w meliorację bagniska pracę wartości 32 tys. złotych a więc odrobili szarwark na pięć lat z góry.

Wstaje Józef Łuc, niewielki, szpakowaty o opalonej twarzy i dziękuję w imieniu gromady.

— U nas „melioracja” bardzo się starała. Wykonała wszystko, co do niej należało i nawet to, co nie należało. Umiiała do nas podejść i dlatego jesteśmy teraz głosi w powiecie jako „przo”-jaka wieś. Dziękujemy „melioracji”, że doceniła nasz wysiłek i będziemy dalej starać się.



Fot. CAF

by nasza robota wysła wsi i Państwu na pożytek — kończy miękko, śpiewnym akcentem.

— Nie sądzicie jednak, że wszystko zrobione — wtrąca się po raz pierwszy Maksymiek. — Jeśli nie będziecie oczyszczać rowów a liczyć na ten odrobiony szarwark, zaprzeczacie waszą pracę.

— Eeee, kto by tam oglądał się. Kto by dla głupich kłkunastr metrów szlamu chciał psuć sobie dobrą opinię — odzywa się Jan Bedliński.

— Może by tak „melioracja” sprędała nam szufle do czerpania szlamu? Nie chcemy za darmo, zapłacimy — odezwalo się kilka głosów z ciemnego kąta pod piecem.

Wdaliśmy się w pogawędkę z gospodarzami. Kilku było podczas okupacji na robotach w Niemczech. Wdzieli tam, jak posypywano łąki na-

wozami, więc po powrocie próbowali spąć kaitn na swoje mokradła. Trawa była trochę lepsza, ale później i nawozy nie pomagały. Rosła sama turzycy i tatarak, nazywano to „rezulka”, takie było ostre. Dopiero tamtego roku założyli zrzeczenie uprawy łąk, zaorali i obsiali 35 ha zmeliorowanych nad Zielawą.

Próbowaliśmy się dowiedzieć, jak szacują w Perkowicach wydajność z zagospodarowanych łąk.

— Ja tak powiem — mówi jeden. — Na siano z mokrej łąki ledwie utrzymałem trzy krowy chude, a teraz boki mają okragłe.

— A jak jest z mlekiem? — dopytuje się inż. Maksymiek.

Wygadane mu zawsze Artyszukowi zaświecili przez moment niespokojnie żencie, ale trwało tylko krótką chwilę.

— Jak były chude, to dawały

najwyżej siedem litrów mleka dziennie.

— A teraz? — dopytuje się natychmiast.

— Teraz — zastanawia się — teraz nie dadzą więcej, bo są zapasione.

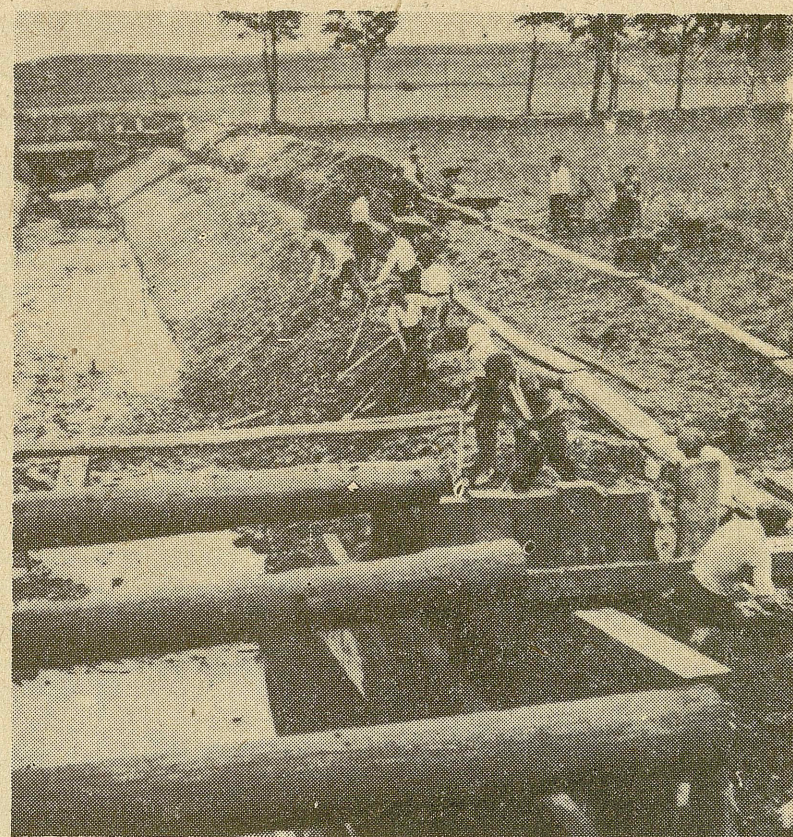
W izbie zahuczało od śmiechu. Artyszuk pojmuję, że przechrztał, nie udało mu się wykreślić sianem. Jest wyraźnie skonfundowany.

— Et, co tam kręcić — występuje stanowczo młodszy Tozewicz. — Dawniej nie mogło się wyżywić krowy z dwóch skosów, a tej zimy jeden skos wystarczył i u niejednego w oborze stoi jedna krowka więcej. Prawda, że trzeciego skosu nie zebrał, ale jesień była długa i ciepła, zielonej paszy starczyło prawie do samych świąt. Słodką trawę z uprawionej łąki je ze smakiem nie tylko krowa. Posiekać ją, to i świnia podróbnia na niej ładnie, tak że potem poduczysz ją przez jeden miesiąc kartoflami i gotowa do odstawy. Nawet kury smakują w takiej trawie.

Artyszuk odezwał się znów, ale tym razem poważnie. — Ja tu słyszę z boku, że biorą mi za złe mój żart. Rok się zapowiada urodzajny, nawozów sztucznych dostaliśmy 400 metrów, to i na „Dzicz” spróbujemy podsić, gdzie już podeschło. Tam zbierzemy mniej, ale nad Zielawą będzie na pewno sto metrów z hektara — wiadomo, trzy pełne pokosy.

Wspominali potem czaśy, gdy kosiło się nad Zielawą stojąc po pas w błocie. Nawet chodząc tam trzeba było ostrożnie. Stał człowiek na kępie trawy, a ziemia się przed nim uginała na parę metrów.

— Te łąki to całe nasze utrzymanie, bo ziemia tutaj licha — piszczy — rozgadał się soltyś.



Fot. CAF

Kiedy pokropi deszczem co tydzień albo dwa, urodzi się żyto i ziemniak. Nie popada — u nas bieda.

W dziale łąkarskim Rejonowego Kierownictwa Robót Wodno-Melioracyjnych w Białej stoi na półce skorosztyt pęczniejący z dnia na dzień. Wpina się tam arkusze zapisane piśmem maszynowym, wykalfografowane równo i czytelnie, wypelnione niekształtnymi literami, gryzmołonymi z trudem ciężką, nie nawiąkłą do pisanja ręką. W wszystkich podaniach jest mowa o jednym i tym samym: Pomóście nam zagospodarować łąki!

„W tym roku założyliśmy spółdzielnię produkcyjną. Chcemy być przykładem dla gospodarzy indywidualnych. Prosimy o zagospoda-

rowanie 60 ha łąk” — piszą z Machówką Małej.

„Prosimy o zagospodarowanie łąk, położonych na uroczysku Kaczeń, które przylega do terenów z Perkowic”. Podpisało osiemnastu gospodarzy z Ogrodnik. (Wdzielił jaka w tamtym roku urosła perkowiczano trawa).

Chłopi z Mokrego proszą o uprawę 6 ha, które w ogóle nie nadają się do użytku. „Prosimy o trak-tory, bo orka konna niemożliwa” — zaznaczają, żeby nie było nieporozumień.

Spółka wodna z Sitnik przesyła podania pięciu wsi z prośbą o zagospodarowanie uroczysk.

Bracia Romanowicz i Piotr Kuć z Dubicy Górnej chcieliby zagospodarować łąki na uroczysku „Lasy”. „Prosimy o pomoc w uzyskaniu traktora na nasz koszt” — piszą. „Prosimy, żeby do mnie za-szedł instruktor, jak będzie w gromadzie, zbadał moją łąkę, co jej potrzeba i powiedział co mam z nią robić” — pisze Julian Holubenko z Kolonii Wisznice. „Chciałbym ją w jakiś sposób doprowadzić do kultury”.

Aleksander Kurowski z Kolonii Młyniec ma hektar i 80 arów. „Gospodarstwo moje nie może się rozwijać, a ja wypełniać obowiązki wobec państwa. Moja łąka graniczy z łąkami spółdzielców z Burwinia i chciałbym przy sposobności zagospodarować ją, bo tam zaprojektowali uprawę. Ureguluję każdą sumę”.

Podlasiak nie jest obojętny dla spraw melioracji, sam prosi o uprawę. Prawie w każdym podaniu podkreśla, że pokryje wszystkie koszty. Gdzież ta bierność o której pisał szanowny wicestarosta? Czyż zmieniła się natura w ciągu tych czterdziestu lat, dzielących nas od daty wydania monografii?

Aleksander Kurowski to starowina, mieszka samotnie pod lasem i trzyma dwie krowy. Urodzaje ma marne, ponieważ ziemia tam licha i sił u niego z Łazdym rokiem mniej do roboty. Kilka lat temu zorał sam łąkę i przekonał się, że pomogło. Teraz musi kręcić głową, w jaki sposób wyżyć. Zwrocił swoje oczy na hektar i 80 arów łąki. Wyliczył sobie, że po zagospodarowaniu utrzyma z niej swoje krowy. Chce zagospodarować przy spółdzielni. Jest już na jej progu i ręczę, że niedługo napisze drugie podanie o przyjęcie do wspólnej gospodarki.

Kolonia Młyniec leży w gminie Dubów, którą opiekują się „melioranci” z Białej. Od stycznia do marca br. założyli tam chłopci pięć spółdzielni produkcyjnych. W zreszcie uprawowych dawno zorał tutaj granicę łąk i skasowanie reszty miedz nie było już wielką nowością, poza tym wiedzą dobrze, że nie wyjdą na tym źle.

Spółdzielnię w Dubowie zarejestrował w styczniu, a pierwszy wstąpił do niej prezes spółki konserwacyjno-wodnej Wincenty Leśniak. Za jego przykładem położył swój podpis na deklaracji sekretarz spółki Demidowicz. Zrzeczenie uprawowe gospodaruje w Dubowie od trzech lat i uprawia 60 ha łąki.

W Burwinie powstała spółdzielnia jeszcze ubiegłej jesieni. Obiecują sobie w tym roku, że zbiorą po 120 kwintali siana z hektara. Tej wiosny gospodarze indywidualni tam prawie że bili się o przyznanie kredytów na nawozy sztuczne do uprawy łąk.

W Korczówce 23 gospodarzy zorganizowali spółdzielnię w lutym. Chłopi z Janówki zabrali się na wiosnę do wspólnej uprawy 500 ha ziemi, przystępują również do melioracji błot i oparzelisk, leżących dotychczas odlegiem.

Zrzeczenia uprawy łąk przestozowały w rolnicze zespoły spółdzielcze. Wystarczyły trzy lata wspólnej pracy na uroczyskach i mokradłach a Podlasiak zyskał rekaw i zmienia krajobraz.

Leszek Skrzydło

Krystyna Pałys

LESZEK SKRZYDŁO

PIERWSZY ROBOTNIK

ŻENIE, się niedawno Jędrk. Milewski. Mieszka on we wsi Bór Kunowski a pracuje w Starachowicach przy produkcji naszych polskich samochodów ciężarowych, słynnych w kraju „Starów”. Wtaje codziennie nad ranem, zimą według po ciemnicy kilka kilometrów do stacji kolejowej, kilkanaście godzin jazdy, wreszcie — nieco zmęczony — przybywa na miejsce pracy. Jędrk nie jest zadowolony z takiego stanu rzeczy, radby pracować i mieszkać w jednym miejscu, oczywiście przy fabryce.

Byłem na weselu, ale nie wspominałbym zapewne o tym ani słowa, gdyby nie pewne charakterystyczne wydarzenia, jakie zaszły pośród tańców i przysięg. Wcale nie jakaś bajka, czy awantura. Wesela przebiegało w nastroju pogodnym i chociaż goście podili sobie wcale nieźle do żadnych incydentów nie doszło.

Chodzi mi o coś zupełnie innego. Przed kilkunastu miesiącami pisałem w „Wi” (nr 50/52) — W szeregi klasy robotniczej — właśnie o młodzieży z Bóru Kunowskiego, młodych robotniko-chłopach. Nie są to już chłopcy, nie mają nic wspólnego z pracą na roli, troskami i kłopotami drobnego, indywidualnego chłopca. A jednak nie są także i pełnymi robotnikami choć pracują w wielkim, socjalistycznym zakładzie pracy. Ciężko na nich wyrażnie niejednym nawyk, niejedno obciążenie związane z chłopskim pochodzeniem, z rodzinną parcelką, którą co rano opuszczają, spiesząc do fabryki.

Otoż ta sprawa — wyrwania się z kręgu rodzinnej wsi, wyzwolenia się z obciążenia charakterystycznych dla drobnego posiadacza — wypłynęła dosyć niespodziewanie w czasie wesela. I dlatego o nim piszę.

Jędrk dochował z jednej strony wrażliwości dawnym zwyczajom. Dziewczyna — Celina Klepaczowa — to bardzo mu się podobała. Skromna, pracowita. Ciepłota niezaradująca w Bórze Kunowskim i okolicy nie brak, jeszcze mogłyby jakieś mu Celę sprządać. Nie tak znówu dawno temu przyszedł wraz ze swoją rodziną do Klepaczów na „zwłady”. Przyszy pan młody przyniósł, zgodnie z odczuciem „połturowkę” obwiązaną w szyję kordką. Przyczyną odpowiedzi na rozwazywała ją na znak, że można dać na zapowiedzi.

Przyjeździem z dawniej dawną zwyczajem następowały targi starszyńcy. Ile będzie posagu, jaka ziemia, co z krową, narzeczonymi. Bywało — rodzice nie odgadywali się. W Bórze Kunowskim, cnot to nie wiekła wieś, pamiętają ludzie, że targi takie niejedną pięknie zapowiadającą się miłość zabiły.

Z drugiej jednak strony Jędrk odstąpił od zwyczajów. O mrogi się nie pytał, o posag nie dopominał, rodzicom przykazał, żeby mówili tylko o dziewczynie, niczym więcej. I starzy posłuchali.

— Dziewczynę biorę, a nie morgi. A bo to ja chłop? Robotnik jestem starachowicki, zarabiam tyle, że nam starczy.

Ten drobniak, jakby się zdawało, miał jednak silną wymowę społeczną, z której nasz pan młody wcale nie zdawał sobie sprawy. Klepaczowa on emiała najpierw. Bo jakto? Smarkacz taki, a morgów nie chce. Ze starym już się wykłóciła co będzie dla córki, przeboleła straty w duchu, a ten nie chce i już. Co w takim razie robi z dziewczyną?

Tak więc w oświadczeniach zekłnęły się już dwa różne światy, ale młodzi ani to odkryli, ani widzieli przed jakimś problemami stana już w czasie wesela. Byli zbyt sobą zajęci.

Milewscy i Klepaczowie to drobnorolni chłopcy. Nie wiem, czy mają obie rodziny razem 3 ha ziemi. A jednak stoły uginały się pod ciężarem wszelkiego rodzaju jada. Stary Aleksander podkreślił wasa i najwyraźniej wzruszony zaśpiewał: *Oj Celu, Celu, już nie nasza, Bo się uwiązła Jędrkowi pasal*



Siadaj, pupu i tego zagryza i nagie zebrał mu się na wspomnienie.

— Ej, jak się człowiek zemu inaczey wywało.

— A co, stary, nie kochałeś się czy jak?

— Udzie mi tam było myśleć o miłości. Człowiek docodził się tych lat, pora się zenic i takie buty. Jak nie masz morgów to uierzysz taką samą biedę i czekasz aż się dzieci posypia. Pan Bóg biednym sprzyja, ucieci się zawsze do roboty.

Wesela Jędrka Milewskiego obudziło wiele tego rodzaju wspomnień. Wziął tam wokół stołu dawną biedotę z Bóru Kunowskiego. Choccy wieś Aleksander, biony niegdys szewczyk wiejski. Mieszkał gdzieś za wsią pod lasem, przegarnięty z listoci. Dzieci szkoły prawie nie liżnęły, tułały się po służbach i odrobkach.

„Jak ja będę stara, gdzie ja się podzieję?”

Pójde ja do zięcia kotysać

Zięciu mój, zięciu mój kochany, Zebys mnie nie gonil z kiejem koto ściany”.

Borysowa śpiewała z przejęciem, ale siadła spowrotem za stołem pomsutniała na chwilę.

— Teraz chłopaki mogą się szczerliwie zenic. Jędrk trau na dobrą porę. Jest co sprzedać i jest co kupić. Niech mu tam będzie jak najlepiej.

Borysowa to starsza już kobieta, samotna, bezdzietna. Męża przywaliło jeszcze przed wojną drzewo, jakas wielka ponoć jodla z puszczy świętokrzyskiej. Nie mogła go przeboleć, stale wracała myślą do niego i tak jakby zestarała się. Dziś słynie w okolicy jako wzorowa gospodyni, specjalistka od hodowli tuczników.

Gdzieś po północy, kiedy na dobre rozbawili się weselni goście, wokół rozbzmiewały wesołe śpiewki a w drugiej izbie tańczono, zapatrzyli się oboje młodzi w przyszłość. I wubychi nieoczekiwanie dla nich samych trudny do rozwiązania konflikt. O ile sobie dobrze przypominam rozmowę. Celu postawiła Jędrkowi takie pytanie:

— Kiedyś do nas przebrwodziś, u nas dom większy?

— To się jeszcze zobaczy.

Chłopak odpowiadał z wyraźną nieciernością, ale dziewczyna nie zauwazyła tego. Roztoczyła przed nami cały świat swoich marzeń. Będzie własny pokoi, obiad dla wracających z pracy męża, praca w polu i ogrodzie, czasem wyjazdy do krewnych, własne świnki.

Dziwna doprawdy historia. Jędrk patrzył z miłością na żonę, ale mówił ironicznie, prawie ze złością:

Powiedz matko, żeby ci w głowie nie kręciła. Nie jesteś żoną chłopca, ale robotnika. Co to jest u diabła, żeby się człowiek nie mógł od tych przedpotopowych łęciów, stryków, wujenki i pociotków odcepić!

Cela patrzyła zgorszona. Takie słowa wobec przedstawiciela prasy!

— No pewno, że są śmieszni, ale co my mamy zrobić. Zostawić schedę? Matka jest bardzo ciężka do współżycia, trochę chytra, patrzy tylko jakby z gospodarki najwięcej wyciągnąć. Ale zawsze to matka. Gdzie się podziemiemy?

Pan młody, najwidoczniej nieco zdenerwowany, wyszedł na podwórze. Poszedłem za nim. Błyszczący czyste gwiazdy.

— Nie rozmawialiśmy długo, gdyż odwołano go na oczępiny. Ten zwyczaj nie bardzo przypadł Jędrkowi do smaku.

— Co za dziadowanie! Składka na biednego dziadka, a ja mam przecie dobrą pracę! Te pieniądze, co Cela zebrała na telerzyku zarobem bez trudu, jak się wezmę w garść.

Milewski nie należy do przodujących robotników. Zarabia ponad 100 złotych miesięcznie, ale może też truć podwyższyć zarobki o 50 procent, a przy pewnym wysiłku może nawet i podwoić swoje zarobki. Wigał go tym nie czyni, nie było powowu. Teraz, kiedy się ożeni stanie się daleko lepszym robotnikiem niż to było dotąd.

— Cela to dobra dziewczyna, ale kura domowa. Przywykła do kunowskich pasków, tej sosniny, świata nie widziała. Jak ona mogła pytać, czy damy sobie radę? Ja jej udowodnię, że damy sobie radę. Zostanę majtrem, a nawet technikiem.

Milewski zapalił się. Zebrało się koło nas trochę młodzieży, byli i starzy.

— Patrzenie no, Jędrk nawet na weselu agituje! Żonę pocałuj, bo nam gorzko!

Tymczasem chłopak postawił jasno problem swojego życia. Narazie będzie dojeżdżał z Kunowa do Starachowic. A jak się technicznie podszkoli, wyjdzie na przodownika, natychmiast złoży podanie o przydział mieszkania dla siebie, żony i matki. Przez chwilę zapanowała cisza. Klepaczowa spochnuwała.

— Bezpartynny jesteś, guzik doślaniesz a nie gazową kuchnię. Jasiak Cymerys, pracujący podobnie jak i Milewski, z miejsca odpalił, że był w Warszawie i wie, że na Mariensztacie i Muranowie mieszkają robotnicy pochodzenia chłopkiego. Po co zresztą szukać tak daleko. Na całej linii osiedli od Skarżyska, po całej Wierzbik aż do Starachowic wszędzie mieszkają dawni chłopcy.

Milewska, matka Jędrka rzekła cicho, jakby z zazenowaniem, że jej syn nigdy nie kłamię. Pewnie być jest, że robotnicy mieszkają po ludzku. Irika Habbowna, robotnica ze „Starów” zauwazyła, że Celina mogłaby właściwie także pracować w fabryce. Razem zarobiłby ponad 2 tysiące złotych. Tyle pieniędzy — Aleksander aż zacmokał.

„Zagrała” nagłe orkiestra, ruszyli do „oberka” nawet starsi, rozmowa przetrwała.

Milewski objął swoją dziewczynę delikatnie w pól.

— No, a co zrobili nasi starszyskowie w Bórze?

— Nie tak daleko do spółdzielni produkcyjnej. Ona im życie przemieni, uczyni podobnym do naszego, robotniczego. I nasze dzieci nie będą się tak spierały jak my.

Jędrk mówił to z uśmiechem tym więcej, że dziewczyna spłoneła jak róża.

Sprawa małżeństwa Jędrka Milewskiego, a może nie tylko tego małżeństwa, nie jest taka prosta. Jasne, że młody człowiek szybko dojrzewa, przechodzi wyraźnie w szeregi klasy robotniczej. Ale nie będzie mylnie pochopni. Jędrk dostrzeże wyraźnie takie cechy życia współczesnego robotnika, jak stabilność



losu, możliwość zdobywania kwalifikacji i awansu, wszechstronne kulturalne życie. Odczuwa rodzaj dumy z faktu, iż pracuje w znanych, przodujących na cały kraj zakładach. Bardzo to dużo, jeśli przypomnieć, że jeszcze rok temu jego ideały życiowe ograniczały się do samego tylko zarobku.

Ale nie dostrzega innych cech. Być zresztą może, że na weselu nie było okazji do podkreślenia przodownictwa politycznego klasy robotniczej, może nie chciał tego czynić ze względu na chłopskich gości. Myślę jednak, że Jędrk jest jeszcze mało dojrzałym ideologicznie robotnikiem. Nie bardzo zdaje sobie sprawę z tego, czym jest klasa robotnicza i on sam dla sprawy budownictwa socjalistycznego życia w naszym kraju, właśnie między innymi i o tych dymów, w których spodziewa się zamieszkać.

Przy tym wszystkim Milewski wywarł jednak wielki wpływ na mieszkanców Bóru Kunowskiego. Pokazał chłopom, że można się oderwać od starego podłoża, wyzwolić z ciasnego kręgu myślenia kategoriami swojego polekta obwarowanego miedziami. Ukazał nowy, wyższy styl życia. I choćby z tego tylko względu można go nazwać *niemierzum robotnikiem w zapadłej gromadzie*.

ANTONI STUR

PO STRONIE MICZURINA

NIEKTORZY z członków kółka miczurinowskiego w Biegonicach są ogromnie „zdobywcy” w swych próbach — jak Wójcik, który zaszczepił jabłonek na głogu. Gargasa poczynania są skromniejsze, za to bardzo systematyczne i celowo obmyślane. Więcej od innych czyta, uważniej słucha rad pani doktor z Krakowa. Z książki dr Szumań „Wychów królików” Gargasa wymiarkował, że można pogrubić białego krajowego i to z szansą polepszenia jakości skórki, krzyżując go z szynszylem. Spróbował więc. Nakoczy się białe i szare, ale białe wyrosły w typie większych od matecznych. Zachęcony przekrzyżował je po raz drugi szynszylami. Teraz było więcej białych i — jak się zapowiadało — jeszcze tęższe. Ale w sam raz wtedy tak pokreśliło się w gospodarstwie, że hodowla królików musiała być czasowo zlikwidowana. Gargasa zaczął ją od nowa. Pani doktor z Krakowa mówiła, że oni tam (Instytut Zootechniki) już do pewnych wyników w ulepszeniu ras doszli i przewodniczący kółka miczurinowskiego — Gieniek Kadziółka — piliuje, żeby dla Biegonic choć z jednego samczyka odstąpił. Instytut — instytutem, ale swoją drogą Gargasa nie zaprzestaje eksperymentów. Ostatnio skrzyżował rexa z szynszylem. Wyszły mu dwa czarne i dwa mieszane przeważnie siwe przy czym — sensacja na całą wieś — jeden z czarnych ma niezwykły „bład piękności”: od urodzenia tylko jedno ucho.

*

— Ze to węgierki lubią u nas wymarzać?... — Gardas chwytając jednego ze szcypów śliwy, mieniących się w słońcu fioletem i brązem. — To nie znaczy, by nie można ich było lepiej zaaklimatyzować. Była tu ostra zima, w czasie której utrzymała się tylko jedna węgierka. Tom sobie wykombinował: wezmę z niej zrazy, zaszczepię na śliwce miejscowej. I rośnie toto. Jak zaowocuje, wysadzę pestki i będę widział, co dalej. A z jabłoniami też próbuję, tylko w inny sposób. Najtwardszą na mróz wzięłam na podkładkę, zaszczepiłam na niej Kokos pomarańczową, Jonathana, Landsberską Wilhelmę, królową renet. Z tego coś mi wyjdzie... tak myślę. Żeby tylko było na tyle czasu i było gdzie to robić. Wiadomości trzeba też ciągle nowych...

Gargasa wyczytał u profesora Medała, że pasiecznicy powinni „elekcionować” matki pszczoły: odrzucać żółtobiałe „włoszki” a zachowywać odporniejsze, mniej „rojne”, a więcej miodne polskie pszczoły szare.

— Przyjdzie czas oblotu, to mi każda królowa leci w pierony i czy ja wiem, z kim się zadaje? Niby to mówi się sąsiadom, żeby też selekcję prowadzili... Może się kiedyś tych włoszek zbiedziemy. Te nasze są lepsze. Więcej miodne, bo od nich mam też roje.

Kronika gromady Biegonice (położenie — na połowie drogi między Nowym a Starym Sączem, forma zagospodarowania w chwili pisania reportażu — indywidualna) notuje dwa przełomowe dla postępu rolniczego momenty. Pierwszym była kapitulacja zagorzałych zwolenników siewu rzutowego wobec oczywistych sukcesów ośrodka maszynowego, drugim zaś — wywalczenie sobie szacunku i stałego posłuchu w chatkach przez słowo płynące z głośnika radiowego. Dalszy komentarz: nauczono się lepiej celować wzrokiem ku roślinom i glebie, bo zdawało się przedtem, że luki-międzyrzędzia to marnowanie pola, tymczasem gdy SOM obsiał najodważniejszym pierwsze hektary, zakrzewienie roślin okazało się gęstsze niż kiedykolwiek. Zaś radiowe odczyty rolnicze w połączeniu z przepowiedniami pogody i różnymi komunikatami zaczęły tak dobrze służyć chłopom w dążeniu do wyższych plonów, że uznano i w Biegonicach za celowe — zdobywać wiedzę.

Basia Pietrzykówna jest też „miczurinistką”:

— Mnie tylko rola, mnie w polu robota. Siał, sadić, próbować, jak można lepiej — to moje życie, i meża mi nie potrzeba (akurat, Basienko!).

Więc czośnek śni się jej wielkości globusa, bo właśnie założyła próbę z uprawą tej jarzyny na nawozach sztucznych i na przepisowo sporządzonym kompoście. Natomiast tata-Pietrzyk specjalizuje się w szczepleniu róż. Jest więc w Biegonicach miczurinowców wielu.

*

Pani z Krakowa o młodej rumianej twarzy i lekko siwiejących włosach zyskuje sobie audytorium skromnym, prostym językiem. Cóż, zagadnień jest wiele, nie od razu potrafi nauka na wszystko odpowiedzieć. W Instytucie Zootechniki pracuje wielu ludzi, starają się iść za potrzebami praktyki, za produkcją.

— Może was zainteresują ostatnie doświadczenia naszego prof. Kamińskiego nad królikami — kontynuuje prelegentka — W doświadczeniach tych, przy których współpracowałam, okazało się, że można sztucznie zmniejszyć liczebność miotów, a tym samym zwiększyć wagę poszczególnych sztuk. W tym celu wywołuje się u samicy jajczkowanie przez krycie wyjąłowym samcem, odczekuje się 9 godzin, aż część komórek jajowych straci zdolność rozwoju i wtedy kryje się samiec normalnym rozplodnikiem, osiągając zmniejszoną ilość zarodków. Cecha większej wagi królika przedziedzicza się w dalszych pokoleniach mimo stosowania już tylko naturalnej formy rozplodzenia...

Diwizy nauk okazują się dobrym zaczynem zainteresowania i porozumienia między zebranymi a uczoną. Zaczynają padać z sali pytania:

— A krzyżowanie z szynszylem, z belgiem nie pomoże, żebyśmy mieli tęższe króliki, proszę pani?

— Krzyżowanie jest oczywiście dobrym sposobem. Trzeba to jednak robić planowo, umiejętnie, wiedząc najprzód, z jakim materiałem ma się do czynienia.

Hodowcy nie mówią o kurach o żywieniu mówią o kurach o spe-

cialnym umaszczeniu, jakie często w tutejszej wsi trafiają się. Czy nie można by wyhodować z nich jakieś „biegonickiej” rasy? Mr. Piotrowicz zastrzega się, że kury nie są jej specjalnością, ale sądzi, że raczej oprócz należy się na czystych zielononóżkach, względnie karmazynach. Zresztą przyjedzie tu dr Bączkowska, która specjalnie zajmuje się tym działem, zapozna się ze sprawą i najlepiej doradzi... Prelegentka mogłaby jeszcze długo mówić, bo w Biegonicach jest nie mniej tylko 130 królikarzy i wielka ich część obecna jest na zebraniu. Wiedzieli w Krakowie, kogo na „pierwszy sztych” do Biegonic posłać? W sali zrobiło się ciepło, bo i ludzie nagrzali i słowa, układające się jak paciorki na tej samej nici zagadnień produkcji, która przepłata zarówno kolektywne naukowe jak społeczność każdej wsi.

— Jedno wam jeszcze chciałam powiedzieć: nabrałam gorącego przekonania, że wasze doświadczenia i prace nad ulepszeniem ras będą miały duże znaczenie dla nas, naukowców. Będziemy na nich sprawdzać i rozszerzać nasze wyniki. A wszystko to razem przyczyni się do wspólnych naszych celów, do walki o wyższą wydajność...

Antoni Stur

WŁODZIMIERZ ZAMIATIN

ZIEMIA ZIELONA

(fragment poematu)

Dziś we wsi pierwszy podmuch wiosny.
W parowach woda pieśni niesie,
Nad sennym stawem dąb wyniosły
Swe szeszołoczne liście zwiesił.
Nad morzem łak się wspiął i zawarł
Z ludźmi i z blaskiem dnia przymierze
I niczym rycerz przed wyprawą
Okuł się korą jak pancierzem...

Strumień się słońcem widać upił
I pędzi wiośnie na spotkanie —
Zaróżwiony dymu słupkę
Kłębi się w ciszy nad strzechami.
W zagrodach wzdycha bydło. Popatrz,
Jak zwisa furtka niedomknięta
I do owczarni mały chłopak
Zapędzić witać chce jagnięta

Kogut nastroszony — pewny swego —
Pieje

według czasu

moskiewskiego.
Pod błękit rambowskiego nieba
Wybucha śpiew.

Do bujnych kolan
Pokryta rosą młodość chleba
Srebrnym szeszelem mknie przez pola.
Umył słoneczny brząsk zagrody,
Ziemia jak barwny dywan leży...

Sąsiadka z wielkim wiadrzem bieży,
By nabrać w nie porannej wody.
Wzdłuż drożyn, ponad trawą, senna
Mgła zwolna ściela swe posłanie...

Na fermie stara Agrafena
Daje pupilkom swym śniadanie.
Cielak już napił się z koryta
Podniósłszy nieczym pręt ogonek,
Wesoło tylnie wzbili kopyta
Przy żywopłocie pozłożonym...

Z pierwszym wiosennym tchnieniem wiatru
Poranek ruszył do ataku...

Nad domem klubu i teatru
Rozpoczął koncert kwartet szpaków.
Śpiew ich traktory zagłaszają,
Syreny maszyn płyną echem,
Wiosna aleją urodzaju
W pola

prowadzi je z uśmiechem.

A do stolicy sięgnąć ręką —
Tu, gdzie lśni zorza promienista,
Leży „Zarnica” — kołchoz piękny —
W centrum ojczyzny

wieś ojczysta.

Wśród barwnie rozpiewanej wiosny
Dymem pod nieba strop sięgając
Wśród niezmierzonych granic Rosji
Na oku wszystkich ludzi kraju!

Jak uśmiechają się tu grzecznie
Dziewczęta —

takie ładne, zdrowe!

Tu dłoń ścisnąć ci serdecznie,
Tu przyjąć ci serdecznym słowem.
Pojmą twe troski i radości,
Tu:

w domu

znajdziesz poczęstunek,
Tu honorowym będziesz gościem,
Należny złożą ci szacunek.

...Jaśniejsza od porannej zorzy
Stoi dziewczyna... Świt ją muska...
Gdy czule jakiś chłopak spojrzy,
Rumieniąc się poprawi bluzkę.
Uśmiechnie się na powitanie
I znów zapanuje się gdzie oczy,

Pchnięty pantoflem mały kamień
Po drodze smutnie się potoczy.
Tak wypatrzył schadzki
Natasza — z chłoncek chwackim,
Z zuchwałym i beztrojskim,
Z najmilszym tym, z jej wioski.

Niech gromy niebo zrzuci —
On tak czy tak powróci...

Wioserną idzie miedzą,
Wytartą ścieżką cichą,
O której oni wiedzą,
Nikt inny. Piosnkę słysząc
Witany uwielbieniem
On stanie nad strumieniem,
Tak, on —

nie wyswatany,
Lecz sercem jej wybrany...

Pośrodku wsi prowadzi ścieżka
Do krytej blachą chaty białej.
— Orłowy z rodziną tutaj mieskał —
Szczyci się nim osiedle całe.
— Kuźmicz Orłowy —

to chluba wioski!

Głową kołchozu jest naszego!
Z powiatu,
nawet z samej Moskwy
Depeszowali już po niego.

Umiął rozślawić tak „Zarnicę”,
Wypieścić, w złoto pola zmienić,
Potrafił tak, dać pszenicę,
Że zdumiewali się uczeni!
Wśród nich bez przerwy o tej ziemi
Dyskusja toczy się żarliwa...
W Moskwie —

na sesji Akademii
Kuźmicz roztrąpnie przekonywał,
By nowe ziarna wypróbować —
On znał ich zle i dobre strony —
I był referat ten Orłowa
Podstawą pracy dla uczonych...

Cóż,
zaszczyt to nie byle jaki;
Staremu uśmiech gra na twarzy...
— Łysenko mówił,

że o takiej
Pszenicy on już dawno marzył.
Że niby ja...

Że kwestia nasion...
Że tyle spraw się zbiegło na raz...
Że mógłbym w Akademii zasiąść,
Gdybym się o to

tylko starał!

A ja mu na to:

„Jeśli chcemy
Rozważyć wszystko i obliczyć,
Nie wszystkim — miejsce w Akademii,
Drogi Trofimie Deniszu.
W polu nas praca nie przestrasza,
Tam już pracuję tego głowa!
I rzecz to nasza no, i wasza,
By wspólnie

wszystko decydować:
Jaką roślinę leć zasadzić,
Przed zmarnowaniem jak ją ustrzec,
My —

doświadczenie dać wam radzi,

A wy —
nam wiedzą swoją służcie...”

Łysence ogień błysnął w oku:
„Wszystko przemysle przy mym stole...
W „Zarnicy” twej jeszcze w tym roku
Zrobimy
doświadczone pole!”

Przełożył WŁODZIMIERZ BORUNSKI

S. A. PIENIAŻEK

GRUSZKI NIE ROSNĄ NA WIERZBIE

MICZURIN dowiódł, że nauka tylko wtedy stanie się własnością całego narodu i dla narodu najpełniej pracować będzie, gdy w jej tworzeniu wezmą udział nie tylko naukowcy, ale i ludzie praktyki. Najpiękniejszą ilustracją tej prawdy są nauki rolnicze i ich rozwój w Związku Radzieckim, gdy zapanowała tam nauka Miczurina i Łysenki. Miczurin sam zaczął swe prace jako praktyk bez większego przygotowania teoretycznego, a obecnie najwybitniejsi uczeni za największy zaszczyt poczytują sobie miano miczurinowca. Miczurin pierwszy zwrócił na to uwagę, że ogrodnicy i rolnicy, którzy całe swoje życie spędzają na pracy wśród roślin i zwierząt, potrafią podpatrzeć ważne tajemnice przyrody i posunąć naprzód nauki przyrodnicze więcej niż bezplodne, przyczynkarskie dąbania oderwanych od życia pseudouczonych.

Pod wpływem Miczurina rozwinął się w Związku Radzieckim wśród ogrodników i rolników ruch, który przybrał nazwę od swego wielkiego inicjatora. Ruch ten stanowi najściślejsze połączenie nauki z praktyką. Praktycy znanymi naukowców ze swoimi osiągnięciami, naukowcy poddają im nowe myśli do wypróbowania w praktyce, albo też starają się teoretycznie opracować ich osiągnięcia i rozszerzyć na skalę ogólnonarodową. Często spotkania, „biedadowania”, jak się to pięknie rosyjsku na-



Min. Jan Dąb-Kociol w rozmowie z Janem Koterem podczas Zjazdu Miczurinowców w Skierniewicach

zywa, naukowców i praktyków stanowią poważny krok na drodze do społeczeństwa komunistycznego, w którym nie będzie różnicy między pracą umysłową a fizyczną.

*

Gdy przed czterema laty po raz pierwszy hasła ruchu miczurinowskiego zaczęły w Polsce rozbrzmiewać, a dziennikarze i uczeni zaczęli rozglądać się po wsi, okazało się, że i u nas od wielu lat pracują w rolnictwie liczni miczurinowcy, jakkolwiek tego miana im dotąd nie dawano. Odkryliśmy ludzi, którzy sami szukali nowych sposobów uprawy, próbowali sprowadzać z daleka nowe rośliny, próbowali przez krzyżowanie uzyskiwać wartościowe nowe odmiany, mieszańce. Jest cechą bardzo charakterystyczną, że w swych pracach nie szli oni za panującymi wtedy w nauce kierunkami fałszywych teorii genetycznych. Mądrość ludowa i głęboka znajomość natury roślin wskazywała wielu z nich słuszne metody pracy, które Miczurin i Łysenko opracowali teoretycznie stwarzając z nich podstawę agrobiologii.

Nawet prasa codzienna popularyzuje postacie najwybitniejszych naszych miczurinowców, a tym bardziej zajmują się ich osiągnięciami czasopisma rolnicze. Każdy chyba słyszał o staruszkach — Leonie Bobińskim, członku Spółdzielni Produkcyjnej w Nużewku koło Ciechanowa. Sporo świata widział ten człowiek. Ogrodnictwa uczymy się na Krymie nad Morzem Czarnym i w Kanadzie nad brzegami jeziora Ontario. Osiadł wreszcie na gospodarstwie pod Ciechanowem, ale ze swoich wędrowek za pracę po świecie przywoził rośliny. Znajomi w listach i paczkach przysyłali mu na jego prośbę nasiona i zrazy. Kilka wartościowych odmian drzew owocowych, które uprawiamy dziś w Polsce — to zasługa Bobińskiego.

Warto pojechać do Ciechanowa i Nużewka. Przejeżdżam kiedyś tamte, patrzę, a tu dom najwykłębszy, ale cały spowity w łozę winna, oplecione nią płoty i nawet studnia, a spod jej liści świecą się w słońcu nabrzmiałe sokiem grona duże, dojrzale, aż granatowe. „To od Bobińskiego” — mówi właściciel — stolarz z Ciechanowa. Bo trzeba wiedzieć, że Bobiński naturalizował i rozpowszechnił w całej okolicy odporną na mróz i na choroby północnokanadyjską winorośl.

Niedaleko Grudziądza jest inna Spółdzielnia Produkcyjna — Wielkie Łęko. Zapytałem tam o ogrodnika — Jana Pszczołkowskiego. Zaprowadził was do sadu, jak mnie w r. 1952 i pokazał młode jabłonie. Jabłonie niezwykle, nie takie, jakie macie w swoich sadkach. Ile kg owoców daje u Was dziesięcioletnia jablonka? Pewnie to pięćdziesiąt — nie więcej. A u Pszczołkowskiego dziesięcioletnia jabłoń dała 150 kg ślicznych jablek. Ale to nie koniec. Wasze jabłonie pewnie tylko co drugi rok owocują, a co drugi rok wycupują. Jabłonie w Wielkim Łęku owocują co roku, bo Pszczołkowski idąc za hasłem Miczurina „Nie możemy czekać na dary przyrody” zmusił je do tego specjalnym przez niego opracowanym sposobem nawożenia.

Nasi miczurinowcy pracują w ścisłym związku z nauką. Przed rokiem na Pierwszym Ogólnopolskim Zjeździe Miczurinowców Sadowników — urządzonym przez Instytut Sadownictwa w Skierniewicach — tak historycznie opowiedział Jan Sława, miczurinowiec z PGR — Józefów nad Wisłą w pow. puławskim.

Gospodarstwo to posiada duży sad, więcej niż 100 ha, w tym kilkanaście ha śliw. Oa kilku lat urodzaj śliwek był słaby, bo niszczył ich zawiązki straszny wróg tego gatunku, dokuczliwa osa, zwana owocnicą śliwkową. Nie było sposobów jej zwalczania, nie znali ich ani praktycy, ani naukowcy. W r. 1950 znaleźliśmy taki sposób w naszym Instytucie Sadownictwa. Polega on na jednorazowym oprysku śliw w końcowej fazie kwitnienia przy pomocy produkowanego u nas Azotoku. Śliwa dowiedziała się o tym i już w r. 1951 opryskał sad pozostający pod jego opieką. Rezultat był taki — 1500 q śliwek z tej samej przestrzeni, z której w roku zeszłym zebrał tylko 180 q. Miczurinowcy pracują nie tylko

w spółdzielniach produkcyjnych i w PGR-ach. Jest ich wielu i wśród rolników, posiadających gospodarstwa indywidualne. Wymienię tu tylko braci Rejmanów w Czarnej Łanuckiej oraz Andrzeja Kotera z Dąbrowy koło Lublina, którzy piękne rezultaty osiągnęli w doświadczeniach nad zmuszeniem jabłoni do owocowania co roku. Wspomnę też Wacława Wojnę — ze wsi Wojny Piecki z woj. białostockiego, który udowodnił, że wprowadzenie drzew niskopiętnych do sadu zapewnia wczesne owocowanie i odporność na mróz.

*

Ruch miczurinowski wzrósł już do takich rozmiarów, a jego popularyzacja doszła do takiego punktu, że trzeba podnieść sprawę jego właściwej drogi, bo oprócz głównego, zdrowego nurtu, widać już i pewne wypaczenia.

Miczurinowiec jest ten, kto na bazie nauki miczurinowskiej, na bazie zdrowych obserwacji roślin i zwierząt, tworzy nowe, lepsze rasy zwierząt lub lepsze odmiany roślin, albo też ten, kto opracowuje nowe zabiegi pielęgnacyjne i agrotechniczne, mające na celu podwyższenie produkcji. Styczność miczurinowca i mistrza wysokich urodzajów jest oczywista. Mistrz wysokich urodzajów, gdy tylko zacznie wglębiać się w rezultaty swoich osiągnięć, gdy zacznie się nimi dzielić z innymi — łatwo stanie się miczurinowcem. Ale miczurinowcem nie nazwiemy niedbalca i łazęgi, który w opuszczeniu i zaniedbaniu trzyma swoje własne gospodarstwo albo powierzone sobie dział gospodarstwa współczesnego, bo on sam oddaje się „wyższym celom”, robi „doświadczenia” ze szczepleniem przysiółkowych gruszek na wierzbie.

Nasza prasa codzienna w popularyzacji miczurinowców nie ustrzegła się pogoni za tanią sensacją, za ekliwim efekciarstwem, pokrytym ignorancją niefrasobliwych reporterów. Niedawno czytałem w gazecie o tym, że w Widzewie koło Łodzi w ciągu ostatnich lat wyhodowali miczurinowcy kilkadziesiąt odmian drzew owocowych. To nie popularyzacja, to wulgaryzacja w najgorszym wydaniu. Każdy sadownik wie, że na wyhodowanie nowej odmiany drzewa owocowego potrzeba przynajmniej kilkanaście lat, a wspomniany reporter dokonał tego czynu w trzy lata.

O co to chodzi? Oto ktoś skrzyżuje jedną odmianę z drugą. Być może, że za lat 15 czy 30 będzie z tego nowa odmiana. Ale nazwać miczurinowcem każdego, kto dokona jakiejś krzyżówki — to szkodnictwo w najczystszej formie. A trzeba przyznać, że są i takie próby, w których „sprytny” miczurinowiec” tak przedstawia sprawę nawnemu reporterowi, że jego wiekopomne prace wymagają natychmiastowego zwolnienia go od podatków i otrzymania nadzwyczajnych dotacji państwowych. Owszem, państwo ma na to środki i finansuje, pomaga w pracy miczurinowcom, ale tam, gdzie mają oni rzeczywiste osiągnięcia i to już teraz, a nie w dalekiej mglistej przyszłości.

Piękna jest droga polskich miczurinowców. Należy im pomagać, zwłaszcza w spółdzielniach produkcyjnych i PGR-ach, gdzie zdarzają się czasami wypadki cięsnego praktycyzmu, gdzie nieraz miczurinowcy skarżą się, że kierownictwo nie chce im dać najmniejszej nawet działki na doświadczenia. Tymczasem trzeba kierownictwu, że takie działki przyczynić się mogą do zwiększenia plonów w całym gospodarstwie, a zatem nie można żałować na nie miejsca. Z drugiej zaś strony miczurinowcy wykazują się muszją wynikami swej pracy i ścisłym powiązaniem z najbliższymi rolniczymi instytucjami naukowymi. Prasa winna popularyzować wyniki ich pracy, ale szczerze radzę reporterom, niech dobrze naradzą się z naukowcem-rolnikiem czy ogrodnikiem zanim napiszą następny artykuł o wyhodowaniu piętnastu odmian jabłoni w trzy lata w Widzewie koło Łodzi, o elektryzowaniu roślin przez ks. Podbielskiego w Warszawie przy ul. Wolskiej, albo o drzewach trójpiennych prof. Zielskiego w Gliwicach.

Prof. dr S. A. Pieniążek

STANISŁAW KRAKOWIAK

W KRĘGU SZKOŁY ROKICIŃSKIEJ

CZYM były i czym są Rokiciny — obecnie poważny ośrodek oświatowo-kulturalny w rejonie kilku gmin w południowej części powiatu brzezińskiego?

Przedwojenny korespondent „Gazety Świątecznej” z tej gminy Stanisław Chmielarski tak pisał w 1935 r. w jednej ze swoich korespondencji:

„Przesłano stacją Rokiciny miała świetną, gdyż tu przychodzili towary pociągami i stąd je zabierano po drodze bitej wozami do miast wiejszych jak Pabianice, Łódź, Tomaszów Maz. i do mniejszych w okolicy. Stacja kolejowa mogłaby się rozwijać lecz na przeszkodzie stał ówczesny właściciel dóbr majorackich Łaznowa, do których należały i Rokiciny, pan Brujewicz i nie chciał zezwolić na utworzenie kościoła jego ziemi stacji węzłowej Rokiciny. Wobec tego taką węzłową stację założono w Koluśkach. Rokiciny upadły i dziś są małą stacją. Na dworcu kolejowym jest urząd pocztowy, jeden z najstarszych w okolicy, jest tu 4-ro oddziałowa szkoła i kilka sklepików. Kilka z nich należy do spółdzielni spożywców pod nazwą „Słońce”. W 1919 r. spółdzielnia łażnowska i kurowska utworzyły jeden zarząd w Rokicinach. Było połączonych 9 spółdzielni z pow. brzezińskiego i dwie z pow. łódzkiego...”

Oprócz spółdzielni spożywców „Słońce” istniała spółdzielnia rolnicza - handlowa, która zaopatrywała okolicę w nawozy sztuczne, ziarno siewne, węgla i wapno. Spółdzielnia „Słońce” wskutek złego kierownictwa i zadłużenia upadła w latach przedwojennych kryzysu.

Nawiązując do postępowych tradycji ruchu spółdzielczego w swym terenie aktywiści Rokicin — Józef Teja — kierownik szkoły, Władysław Marusiak, Jan Pluta, Marian Sonta, Zenon Krus i kilku innych wystąpili w Polsce Ludowej z prośbą do władz zwierzchnich o założenie szkoły — publicznej średniej szkoły spółdzielczo-handlowej.

Nie poszło gładko. Opory były zarówno u „góry” jak i u „dołu”. Wielu radnych w gminie Łaznowa, pod wpływem prywatnych sklepikarzy, niechętnie odnosiło się do projektu aktywistów. Większość chłopów z okolicznych gromad nie wierzyła w trwałość szkoły. Pokpiwali, że tak długo będzie istnieć jak spółdzielnia „Słońce”.

Był to pamiętny rok 1947, w którym rząd nasz w oparciu o partie robotnicze, związki zawodowe i organizacje społeczne podjął szeroką akcję znaną powszechnie pod nazwą „bitwy o handel”. Miała ona na celu zmoczyć walkę z nielegalnym handlem i spekulacją, rozbudować handel państwowy i udrożnić spółdzielczy. W tej bitwie trwającej do dzisiejszego dnia rosła za potrzebą kadry młodych pracowników handlu uspołecznionego, wychowanych i przygotowanych do pracy w Polsce Ludowej.

Takich absolwentów — zakładali aktywiści Rokicin — potrzebowali i nasze wsie podłódzkie. Kto pojechał do miasta — mówili — najczęściej tam zostaje. Trzeba nam naszą młodzież, te najbardziej, wyszkolić, aby większość z niej została u nas i w okolicy.

Ta inicjatywa społeczna, oddolnego założenia szkoły spółdzielczo-handlowej spotkała się naderazie z uznaniem kuratorium i od 1 września 1947 r. powstaje w Rokicinach Publiczna Średnia Szkoła Spółdzielczo-Handlowa, z której korzystała młodzież z gmin Łaznowa, Mikołajów, Ciosny, Łaziska, Biedkowa, Czarnocina.

Szkoła zawodowa mieściła się w paru salach po dawnej karczmie, w warunkach trudnych a nawet nieodpowiednich. Upór młodzieży, rodziców, dyrektora Teji i nauczycielstwa zdecydował, że szkoła nie załamie się w pierwszych miesiącach istnienia ale w roku szkolnym 1948-49 liczyła trzy klasy — 120 uczniów. Trzeba było zakładać internat, do szkoły zgłaszała się młodzież już z sąsiednich powiatów — łódzkiego i rawskiego-mazowieckiego.

Od 1948 roku opuściło mury szkoły spółdzielczo-handlowej w Rokicinach około 200 absolwentów. Nie jest to zachwycająca cyfra, ale pod względem jakościowym nie ustępujemy szkołom miejskim. Nazwiska naszych absolwentów pamięta każdy nauczyciel. Wiemy, gdzie i jak pracują. Często się z nimi spotykamy, doradzamy im, pomagamy w trudnościach.

Część absolwentów z r. 1948 pracuje w gminnej spółdzielni ZSC w Rokicinach. Krystyna Kudlik, Urszula Łaska, Maria Dziędzicka stanowią w tej chwili wysokokwalifikowane siły w dziale księgowości. Miał na nie apetyt nawet PZGS z Brzezin.

W pobliskiej GS w Łaznowskiej Woli zatrudniona są Alina Wachowicz, Krystyna Olsztyńska, Jadwiga i Lucyna Malinowska. Zarząd wyraża się o nich z najwyższym uznaniem. Są pracowite i obowiązkowe, a ponadto nie stronią od pracy społecznej.

W gminie Mikołajów było ubiegłego roku, jak się to po polskości określa — bagno. Za to bagno poszli do więzienia przewodniczący, sekretarz prezydium oraz księgowy. Rada nie pracowała. Komisje

nie działały. Słowem — beżolowie. Prezydium PRN w Brzezinach przecięło ten wrzód i postanowiło wyleczyć podległą jednostkę terytorialną. Przeniesiono nowego sekretarza prezydium, wybrano przewodniczącego i zaangażowano nowy młody personel, z absolwentów szkoły handlowej w Rokicinach. I to nie z najlepszych ale średnio uczących się. Dziś pod kierunkiem sekretarza Antoniego Fejli młody personel pracuje już na poziomie, wyciągnął gminę z bagna i stawia ją ambitnie w rzędzie przodujących w powiecie.

Nudne, zatechłe było miasteczko Biedków zanim nie włączyły się do pracy w gminie, w GS i GKS nasze absolwentki i absolwenci — w większości mieszkańcy Biedkowa i okolicznych wiosek.

Krystyna Pacha prowadzi w gminie kasę. Można jej ufać — mówią członkowie prezydium i obywatele gminy. Pilny i dokładny w pracy jest Eugeniusz Wochna — pracujący w CUS. Dobrze pracują: Anna Pachniewiczówna i inni.

Kiedy założone zostało w Biedkowie pierwsze kino stałe Krystyna Jedrzejczyk została kierowniczką. Kino to należy do najlepszych w woj. łódzkim. Stałe przekracza plan frekwencji, kupia i wychowuje młodzież i starszych.

Nasze absolwentki w Biedkowie należą do LZS i do ZMP i przez te organizacje wywierają wpływ na swoje środowisko. Powiaty inne



wiatry kiedy pracują te młode siły — mówią chłopcy. — Nie ma tyle oszukaństwa co było dawniej.

W dalekiej gminie Gostatowie, pow. Rawa Maz. poważnie i odpowiedzialnie stanowiska objęli nasi byli uczniowie. Kazimierz Zajac jest kierownikiem mleczarni w Stolinach. Grabowska i Damażówna pracują w gminie, inne w GS.

W gminie Niesutków w wydziale kult.-społecznym pracuje jedna z najlepszych naszych absolwentek, Teresa Sonnenberg. Chce i będzie się jeszcze uczyć dalej i wróci na wieś. W CUS tej gminy zatrudniona jest Zofia Wolaniówna, a w szkole w Dąbrowce — Maria Mierzejewska.

Z naszej szkoły wyszło kilku korespondentów: Bąkówna, Sonnenberg, Balcerek, Krych, Pielesiak i inni. W swojej rodzinnej wsi Balcerek i Krych montują w tym roku spółdzielnię produkcyjną, założyli LZS, podnieśli na wyższy poziom pracę ZSC i ZMP, prowadzą ostrą walkę klasową, rosną i szlifują się w niej na wartościowych obywateli.

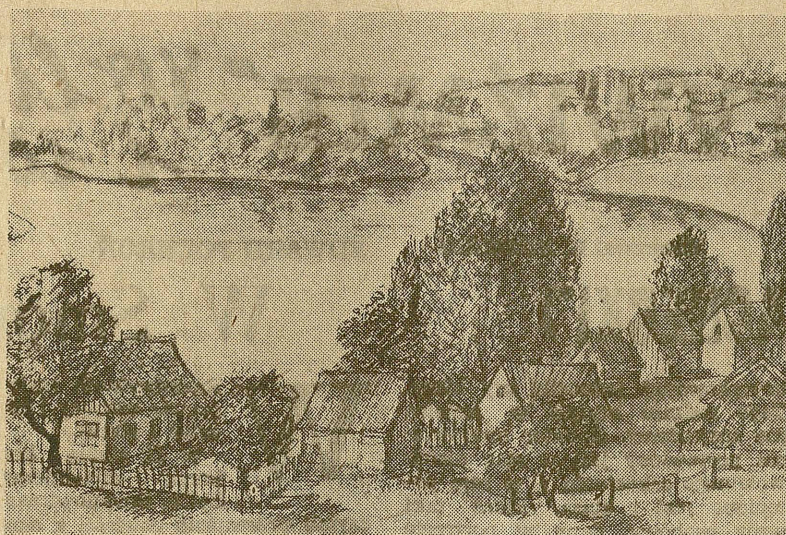
Część, bo prawie jedna trzecia naszych absolwentów poszła do pracy do miasta i do szkół. I z nich w większości mamy powodów do dumy. Kilku ukończyło szkoły oficerskie, technikum, handlowe i inne i pracują na odpowiedzialnych stanowiskach.

W m-cu maju projektuje się w Rokicinach zjazd absolwentów szkoły handlowej. Będzie to nie zwykła uroczystość, na której odpowiadamy nam o swej pracy, o trudnościach, o osiągnięciach w dziele budowy, przebudowy wsi polskiej.

Szkoła spółdzielczo-handlowa w Rokicinach spełnia swoje zadania. Dala wsłom dziesiątki przygotowanych fachowo i ideologicznie młodych pracowników, którzy mają chęć do pracy i chcą służyć swym gromadom i gminom, z których wyszli. Dziś tworzą oni wraz z nauczycielstwem, pracownikami prezydium, GS i innych instytucji i działaczami gromadzkimi i gminnymi inteligencję wiejską, inteligencję młodą i kształtowaną w Polsce Ludowej.

Działacze kulturalno-oświatowi i nauczyciele powinni wciągnąć młodych pracowników do czytelnictwa, bibliotek, świetlic, do zespołów artystycznych itp. Trzeba troszczyć się, aby nie poprzestali na tej wiedzy, którą zdobyli w szkole. Muszą rosnąć w pracy, przy książce, przy kulturalnej rozrywce. Powinni to być kulturalni pracownicy handlu uspołecznionego czy administracji państwowej — w przyszłości przywódcy wsi socjalistycznej.

Stanisław Krakowiak



Jezioro Tomaszowskie — Ziemia Olsztyńska. — Rys. Hermanowicz

TADEUSZ TOMKIEWICZ

U MAZURSKICH TWÓRCÓW LUDOWYCH

W ŚWIETLICY gromadzkiej w Pieckach (powiat kętrzyński) znajduję się 2 stoliki. pod radio i do szachownicy Zrobione są z gałązek wikliny i korzeni świerkowych. Wykonanie mistrzowskie.

— Czyja to robota? — pytam świetlicowego.

— Jest tu u nas taki staruszek. Na końcu wsi mieszka. Zaraz przy szosie, pierwszy dom na prawo. Polak miejscowego pochodzenia, Otto Grois. Żadna to dla niego sztuka.

Poszedłem pod wskazany adres.

— To wasze, dziadku, te arcydzieła w świetlicy? — zapytałem po chlebnie.

— Pehi, jakie tam arcydzieła — zwykła robota. Prosił mnie chłopaki — zrobili. Chcieli, płacić. Mówię im: po co? Ja się tym nie bogacie. Pracować i tak nie mogę, nie moje lata i zdrowie na to. Sie-dzę i strugam, by się nie nudziło.

Staruszek w akcentcie mazurskim dobrze mówi po polsku. Książki polskie starannie przechowywane przed oczami niemieckich żandar-mów przetrwały przez wiele lat w rodzinie Groisów.

— Mówię po naszymu nie wolno było, ale człowiek wśród swoich bliskich przypominał sobie, by języka w gębie nie zapomnieć. Do książki czasem zajrzał i tak jakoś do dziś przy swoim pozostał, syn chłopakiem był wtedy. Teraz ożenił się. Z żoną pracuje przy gospodarstwie, a ja, jak pan widzi, strugam sobie. Koszyki, płote, stoliki, fotele i różne takie drobnostki. Z Olsztyna przyjeżdżają tu — kupują. Czasem synowa sama odwozi. Zarobi się parę złotych.

Staruszek pokazał mi swoje prace. Piękne małe arcydzieła, koszyki z korzeni i trawy, stoliki z wikliny, także same fotele plecione, łóżeczka dziecięce. Niemordowanie pracuje przy tym codziennie. Dzieła tego rzemiosła, dawno już zanikłego w kraju, odbiera CPLiA. Staruszek ma zapewniony byt. Ale, jak wielu twórców regionalnej sztuki ludowej — narzeka na swe go odbiorcę. I słusznie. CPLiA płaci mu za wyrób po 20, 30 zł., sprzedaje zaś po 80, 100 — ponad 100 złotych za sztukę.

Działacze społeczni i kulturalni też nie wiele uwagi poświęcają tej twórczości. W gminie i powiecie wrzuszają ramionami: Co nas to obchodzi, mamy ważniejsze rzeczy na uwadze.

Zbyt często stosunek władz terenowych do sztuki ludowej jest aż nazbyt obojętny, powiedziałbym, lekceważący. By nie być gołosłownym przytoczę więcej faktów zaobserwowanych w czasie odwiedzin u mazurskich twórców ludowych.

Jednym z najstarszych przemysłowców ludowych w Warmii i Mazurach jest tkactwo. Początkowo służyło ono do zaspokojenia potrzeb własnych w domu. Rozpowszechnione było szeroko. Później, w miarę rozwoju kapitalizmu, a więc i przemysłu fabrycznego — ustępowało miejsca tkaninom fabrycznym, stało się przemysłem chałupniczym. Aż wreszcie w początkach XX wieku staje się rzadkim okazem na wsi mazurskiej. Płótna własnego wyrobu, samodzielną, welnianki itp. wyparły tkaniny fabryczne zarówno ze względu na czas jaki zajmuje własny wyrób, jak i ze względu na przystępniejszą cenę.

Po wojnie, która przyniosła zwolnienie Warmii i Mazur i połączenie jej z Macierzą, dzięki opiece i trosce Państwa Ludowego sztuka

ludowa — w tym i tkactwo — zaczęła odradzać się na nowo.

W sklepach i punktach sprzedaży CPLiA spotykamy wzorzyste, deseniowe dywany, maty i serwety. Pochodzą one z wyrobu nielicznej garstki mistrzów — te sztuki z głyńskiego, nidzickiego i szczecińskiego powiatu. Na terenach tych pozostało jeszcze kilku tkaczy i tkaczek: Wierbowski z Domunowa, Makarowska z Wojnowa, Korzelina z Bęberek i Rogowska z Mikołajek. Tkaczki ci napotykalą jednak w pracy na wiele trudności — przede wszystkim brak im niektórych surowców, jak bawełna i odpowiednie trwałe barwniki. A CPLiA poza odbiorem wykonanych prac nie troszczy się więcej o nic.

W roku ubiegłym był duży popyt na wzorzyste kilimy i dywany strzyżone. Wyrobem powyższych zajmowały się tkaczki w Dzierżgach pod Olsztynem, Karolińska, Jagielska i Bryłowa. CPLiA zamówiła jako pilne prace około 30 sztuk tych wyrobów. Miano je wysłać do Czechosłowacji. Zamówienie zostało wykonane, towar przyjeżdżało i wysłano a na zapłatę za tak kosztowne prace tkaczki musiały czekać aż 5 miesięcy. Więc tkaczki powiedziały: dosyć tego. I od roku nie już nie produkują. Czyja w tym wina?

Ziemia Mazurska posiada bogate tradycje ludowych wyrobów ceramicznych. Charakterystyczne dla ceramiki mazurskiej są tak zwane siwaki (garnki nie polewane), z których słyną chałupnicy z Nidzicy, Smarżewa i Rachub. Wyrabiane są też dzbanki, kubeczki, miski, talerze ozdobne, stoje gliniane, wazoni do kwiatów itp. W sklepach i kioskach CPLiA, a także na wystawie zorganizowanej z okazji 30-lecia Ceramiki Polskiej w roku ubiegłym we Wrocławiu mogliśmy oglądać te piękne dzieła twórczości ludowej. Dziwnym tylko jest fakt, że mimo stosunkowo niskiej ceny, mimo że wyroby ceramiczne z Olsztyna wędrują do Warszawy, Stalino, Wrocławia, a nawet do Czechosłowacji i NRD — „nie idą” tylko... w Olsztyńskim. Dlaczego? Trudno mi jeszcze na to odpowiedzieć.

Mogę postawić pytanie. Dlaczego Rejonowe Biuro Handlowe i Oddział CPLiA w Olsztynie nie rozprowadzają tych wyrobów po sklepach GS-ów? Wydaje się, że można tego spróbować. Próby takie przeprowadzono w niektórych terenach Białostockiego i Warszawskiego — i rezultaty były.

Piękna sztuka ludowa Mazur wciąż jeszcze traktowana jest przez terenowe władze, ba, nawet przez działaczy kultury jak przysłówiowy „Kopciuszek”. Niedawno daremnie rozpytywałem się w powiecie nidzickim o wskazanie mi chociaż jednego adresu ludzi zajmujących się sztuką ludową. A przecież w tym powiecie jest bodajże najwięcej artystów ludowych, tkaczy, koszykarszy, garncarzy, koronkarzy itp. W GRN w Mikołajkach odpowiedzialno mi bezceremonialnie: — albo my tu siedzimy po to, by wiedzieć kto tam jakie garnki lepi? A w tychże Mikołajkach mieszka właśnie jeden z licznej grupy mistrzów ceramiki, znany nawet w Warszawie wielu działaczom kulturalnym, Jan Cholewa. Nieznany tylko niestety w Mikołajkach.

Tadeusz Tomkiewicz

JAN ONOPA

KTÓRĘDY DROGA?

Rabień leży niedaleko wielkiej Łodzi, jeszcze bliżej dwóch małych miasteczek — Aleksandrowa i Konstanytnowa. Jest to spółdzielnia produkcyjna. POM, kino stałe, świetlica, dwie biblioteki, szkoła podstawowa. Łatwy stąd dojazd do obu miasteczek i Łodzi. Mieszkańców będzie chyba ze 2000, w tym bardzo wiele młodzieży w wieku szkolnym. Wymarzone warunki, prawda? Tak, a jednak bibliotekarz skarży się, że mało kto czyta, książki rolinicze od lat leżą nie rozcięte. Rodzice z niepokojem obserwują czasem tylko swawolnie, czasem niestety huligańskie wybryki młodzieży. Słowem źle jest i tyle.

Rabień to wieś poniemiecka, nasiedlona po wojnie przez chłopów „od sasa do lasa”, ludzi z Wileńszczyzny, Wołynia, Podola i centralnej Polski. Stąd też bierze się jedna z „teorii” polegająca na prostym przekonaniu, że owa różnorodność elementu ludzkiego, rozmaite tradycje kulturalne, odrębne zwyczaje hamują rozwój kultury Rabienia. Nie zgadzam się z tym, jakoby swoisty sposób przyrządzania ryby przez wileńskich repatriantów mogli ich odstraszać od książek.

Słyszałem także inną teorię. Rabień jest wsią podmiejską i dlatego nie może rozwijać własnego życia kulturalnego. Ludzie wolą po prostu miejskie kino, czasem teatr, spacerować po głównej ulicy a nawet książki z biblioteki. Z drugiej strony wygodniej im sprowadzać do swojej świetlicy prelegentów, artystów i literatów z miasta, niż własnymi niejakimi rękami tworzyć swoje kadry pracowników kultury, koła czytelników, czy kluby dyskusyjne.

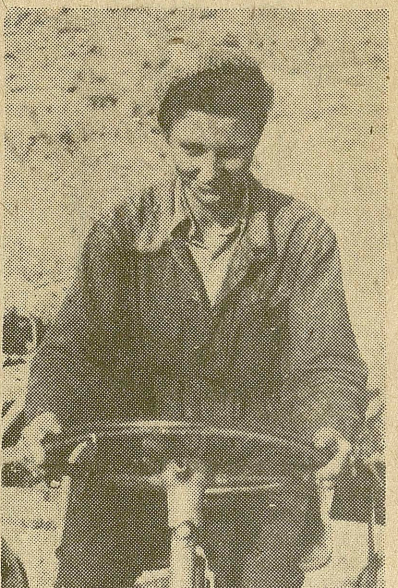
Wreszcie jeszcze jedna teoria, także fałszywa i niebezpieczna, tym więcej, że jej twórcy coś niecoś widzą, lecz nie umieją wnioskować. Powiadają mianowicie, że Rabieniowi przynosi wielki wstyd jego młodzież. Chodzi tu o chyba dwie setki chłopów i dziewczyn uczęszczających do szkół w Łodzi lub w dwóch okolicznych miasteczkach, traktorzystów i mechaników POM, dość liczna grupa młodych ze spółdzielni produkcyjnej, GS, GRN. Ano młodzież zachowuje się strasznie, pije, urządza karczemne burdy, pomowcy nadpadają na synów i córki indywidualnych, ci znowu wojują zapamiętałe z młodymi spółdzielcami i tak się toczy dziwna młodzieżowa wojna wszystkich przeciw wszystkim. Starsi na to wszystko patrzą i powiadają, że widać tak ma wyglądać „ta socjalistyczna kultura, ale nas panie boże od niej ucho-waj”. I zamykają się w ciasnym kręgu spraw gospodarczych, omijają świetlicę, nie kwapią się do książek. Tak mówią ci, którzy wiedzą, że dzwonią, lecz nie wiedzą w którym kościele. Młodzież rzeczywiście była, a i jeszcze teraz jest nieco skłócona i rozbita, istotnie często fatalnie zachowuje się i budzi wśród starszych zgorszenie. Zapewne nie jest to bez znaczenia na stosunek starszych do społecznego, gromadzkiego życia. Chodzi wszakże o wykrycie najważniejszego — prawdziwych przyczyn tego stanu rzeczy. W tym miejscu teoretycy rabieńscy zazwyczaj kręcą, powiadają o wiecnych cechach młodoci, „niewyznocy”, o prawach i przy-wielach młodego wieku, który musi konieczne ze sztachetami w ręku liczyć kości sąsiadom. A potem się uspokaja i żyje jak pan bóg przy-kazał.

Czyżby? Próbuje wyjaśnić tę pozornie niezwykłą sytuację Rabienia. Wydaje mi się, że miejscowy aktyw doznał po prostu lekkiego zawrotu głowy od sukcesów. Bo i pomyśleć tylko! W roku 1950 SOM przystąpił do POM, powstała spółdzielnia produkcyjna. Urucho-miono świetlicę, gromadę zradiofonizowano, włączono do radiowęzła w Konstanytnowie. Wydawało się, że obóz socjalizmu w Rabieniu zajął tak silne pozycje, iż śmiało można trąbić na zwycięstwo nad wrogiem klasowym. Brzmiało to i śmiesznie ale od tego trąbienia na zwycięstwo usnęła polityczna czujność. Wprawdzie wrog rozcią-wiał płotki, że w spółdzielni pada-ły konie i bydlęta o pomowskie ma-szyny wiecznie w remoncie, ale to nie była poważna groźba. Traktoryści i mechanicy podnieśli kwalifikacje, przestoję zmalały, poprawiła się hodowla w spółdzielni. Nie ma miejsca do uderzenia — tak sobie aktywnie powtarzali czekając na dalsze sukcesy. Tymczasem przyszła klęska. Dźwignię się z niej trwa do dzisiejszego dnia.

Wrog znalazł miejsce do uderzenia i to odrazu na kilku frontach. Jeśli mnie dobrze poinformowano wstąpił do spółdzielni produkcyjnej Jakubowicz Antoni po to tylko, żeby ją rozsadzić. Był to jeden z największych pijaków, jakiego znalazłem w Rabieniu i okolicy. Do roboty ostatni i zawsze chory. Do kieliszka pierwszy, mistrz łańcuszkowego handlu na rynkach Konstanytnowa i Aleksandrowa. Z nim przyszedł Wieruszewski, ten sam, który przez blisko pół roku pełnił funkcję zastępcy przewodniczącego spółdzielni produkcyjnej. On to sprawił owe słynne „pomory na bydło”. Wieruszewski przyprowadził z sobą zięcia — Pajaka, człowieka młodego i energicznego. O ile dwaj pierwsi głównie rozpijali ludzi, trzeci zajmował się macaniem im w głowie. Pajak był wygadany, opo-

wiadał ludziom niestworzone historie, jakoby u marksistów wyczyta-ne, z których wynikało, że indy-widualni chłopcy to wrogowie socja-lizmu. W ten sposób stwarzał atmo-sferę nieporozumień, pełną napię-cia, które raz po raz rozładowywało się w bójkach. Świetlicę raz po raz demolowali pijacy, nierządno młodzieży z POM, pili strażacy i bójki niosła się daleko w powiat. Ot macie — socjalistyczna wieś — mówiono w okolicy. Rabień stał się przez pewien okres odstrasza-jącym przykładem, mimo iż miał tyle — formalnie rzecz biorąc — socja-listycznych instytucji. Jego życie kulturalne załamało się...

Spróbujmy wyciągnąć wnioski. Wypada z miejsca powiedzieć, że rabieński aktyw popełnił dwa pod-



stawowe błędy. Po pierwsze, spro-wadził zły stan roboty kulturalnej w gromadzie do przyczyn grających pewną rolę, ale w gruncie rzeczy nieistotnych. Wokół spraw kultu-ry potoczyła się ostra walka klasowa. Wrog zaatakował głównie młodzież, skłócił ją, osłabił moralnie. Ale aktywni rabieńscy nie zdawali sobie dokładnie z tego sprawy, są-dził, że działalność kulturalna, ze-spół czytelnicy, książki socja-listyczna, chór młodzieżowy, czy ze-spół amatorski, to nie są instytucje godne ataku wroga. Kulak ude-rza głównie na odcinku ekonomicznym. I to był pierwszy wielki błąd. Kto wie, czy nie na skutek braku czujności politycznej 40 książek rolniczych leży nierozciętych.

A drugi błąd, choć to zapewne nie dość prawdopodobnie brzmi, po-lega na niedostrzeganiu niewielkich może jeszcze, ale przecież wyraź-nych zwiastunów przełomu.

Muszę się wszakże w tym miej-scu zastrzec, że zarzut ten nie cał-go dotyczy aktywów. Oto np. sek-retarz miejscowej organizacji par-tyjnej, Krakowiak, opowiadał mi z satysfakcją, że udało mu się po-godzić zwaśnioną młodzież. Uczynił to w ten sposób, że na zebraniu koła ZMP gminnego, gromadzkiego, oko-licznościowych komitetów radził za-praszać młodzież z całej gromady, nie wyróżniając akurat pomowców, czy członków spółdzielni produkcyjnej. I poskutkowało. Młodzież zce-mentowała się, chętniej niż do nie-dawna uczęszcza do świetlicy. Jas-ne, pijaństwo jeszcze nie zanikło, ale załoga POM jest znacznie sprawniejsza. Rabień nie zajął wprawdzie jeszcze pierwszego miej-sca we współzawodnictwie, ale też nie jest już na końcu.

Pracuję wcale liczny, 40-osobowy zespół artystyczny. Znajdziecie tam dobrego traktorzystę Cymermana, energicznego organizatora Szymań-ka i innych. Teatr świetlicowy z Rabienia przygotowywał właśnie „Bu-melant’a”, z którym objeździe okoli-cę. Chór jeszcze ubiegłego roku „zadawał fasonu w powiecie”.

Nie jestem łatwym optymistą. Wiem, że młodzież czyta zaledwie kilka ulubionych książek z POM-owskiej biblioteki, dotyczących głównie partyzanckich przgód. Sam wypytuję o poezję. Żaden z załogi nie miał wierszy w ręce. Nie dyskutowano „Piłki z ulicy Barskiej”, która tak bardzo by się przydała byłym huliganom. Zresztą mało kto z młodych spółdzielców o tej książce wie, nie inaczej z po-mowcami. Ale wiadomości o książ-kach powoli przenikają z Łodzi, roznoszą je młodzi uczący się tam w średnich szkołach. Wiem dobrze, że chłopcy i dziewczęta polują wciąż jeszcze na Rodziewiczównę, dopytują się o miłość w książkach. Któryś oświadczył mi, że współczes-nej literatury nie kocho, bo ani sło-wa w niej o kochaniu.

Czytają jednak dużo byli analfabeci, czytają starsi chłopcy. Oni to przecież stworzyli i utrzymują ze-spół dobrego czytania, dyskutują przeczytaną lekturę. Młodzież na wieczory dyskusyjne wciąż jeszcze nie bardzo chętnie przychodzi. A zespół składa się z 16-stu chłopów z POM, spółdzielni produkcyjnej i indywidualnie gospodarujących chłopów.

Te właśnie zwiastuny przełomu należy w pełni dostrzec, wyraźne parcie starszych do kultury połą-czyć z młodzieżowym. W Rabieniu jeszcze „każdy sobie rzepkę skrobie”. Sprawami kultury zajmuje się cały szereg ludzi, każdy po swojej linii, niezależnie od dru-giego. Chodzi o zjednoczenie tych wysiłków,

Jan Onopa



LEONARD SOBIERAJSKI

WYROK NA FOLWARK SZLACHECKI*)

Prus kreśląc obrazy bankructwa szlacheckiego dworu daje artystyczne uogólnienie, w którym zawiera się wyrok na całą klasę. Dla Prusa jest to klasa pasożytnicza, nie zdolna do żadnej pracy, do żadnego



twórczego wysiłku. Czy w całym dorobku autora *Lalki* znajdziemy choć jedną postać — typ „poczytelnego ziemianina”, dla którego piarsz przagnął wzbudzić szacunek czytelnika (pomijam tu najwcześniejsze utwory jak *Wieś i miasto*)? Prus odsłonił niesłychanie wyrażenie zakłamanie i moralną ohydę tej „murszejacej” klasy. Całą bezmyślność tzw. dobrego wychowania, cały fałsz i pustkę szlacheckiego stylu życia, zdemaskował pretensje tej klasy do przodującej roli w życiu społecznym i kulturalnym (bo przodownictwo w dziedzinie gospodarczej ziemianstwo w tych latach łaskawi już odstąpiło młodej burżuazji).

Czy Prus formułował ten osąd w swoich wypowiedziach publicystycznych? Do klasy szlacheckoziemiańskiej miał zawsze stosunek krytyczny; w swoich kronikach drwił z jej zaściankowości i ograniczenia intelektualnego, obrażał się na nierobstwo, zjadliwie kpł z jej nadętej pyszkatowości, z cechujących ją „form pańskich”. Przy tym wszystkim był litanie szlacheckich grzechów, którą by można za autorem kronik długo jeszcze ciągnąć, pisarz uważał po trosze za wady niejako narodowe; dlatego próbował perswadować, przemówić „ziemianom” do rozsądku, namawiając ich do wyjścia z tepego nieporadnego i ciasnego „hreczko-siejstwa”, do przyjęcia w gospodarce rolnej kapitalistycznych metod produkcji, zastosowania tych wszystkich ulepszeń, jakie wprowadzali wówczas na Zachodzie wielcy obszarnicy, uzyskując większą wydajność i opłacalność. Prus — publicysta nie zdawał sobie jednak przy tym sprawy z tego, że obszarnicy zachodnio-europejscy i amerykańscy podbijali dochodowość swoich majątków kosztem wyższymi robotników folwarcznych, nie rozumiał, że w ówczesnym rolnictwie owych lat „postęp” dokonywał się przy pełnym zachowaniu kapitalistycznego prawa koncentracji kapitału, ostrej konkurencji, doprowadzającej w rezultacie do nieu-



chronnej ruiny drobną gospodarkę chłopską. Niedostrzeżenie tej podstawowej zasady systemu, opartego na wyższym człowieku przez człowieka, płynęło z klasowego ograniczenia pisarza, który widząc istniejące zło społeczne, nie potrafił zrozumieć jego ustrojowych korzeni. Prus — artysta notował jednak objawy tego zła i w tym właśnie leży wielkość realistów mieszczańskich, na tym polega ich postępowanie, w tym wyraża się ich solidarność z masami uciskanyimi.

Podkreślaliśmy już, że nasilenie realistycznych elementów w twór-

czości naszych wielkich prozaików mieszczańskich, nastąpiło około roku osiemdziesiątego, gdy dojrzała świadomość proletariatu fabrycznego, gdy również średnio i drobno-rolne chłopstwo na skutek gwałtownie postępującej pauperyzacji wsi zaczyna odczuwać swoją złą sytuację w kapitalistycznym ustroju. Niewątpliwie proces dojrzewania klasowej świadomości mas ludowych był jednym z decydujących czynników, które pozwalały Prusowi ostrzej spojrzeć na otaczającą rzeczywistość, trafniej ocenić i zobrazować narastające sprzeczności burżuazyjnego społeczeństwa.

Gdy w świetle tych rozważań spojrzymy dzisiaj na *Anielkę* inaczej wypadnie nasza ocena tej pierwszej próby powieściowej wielkiego pisarza. Analizując cały tok fabularny utworu, ustalając pole Prusowskiej obserwacji, określając w opowiadaniu funkcję jego centralnych postaci — dojdziemy do stwierdzenia, że narzucające się czytelnikowi wnioski ideologiczne



z przesłanek artystycznych obrazu, idą znacznie dalej niż formułował je w stosunku do poruszonego zagadnienia Prus-publicysta.

W polu obserwacji autora *Anielki* znalazł się przede wszystkim podpadający folwark szlachecki. W założeniach kompozycyjnych utworu leżało uwypuklenie jego degradacji ekonomicznej. Stąd centralną figurą obrazu wbrew tytułowi jest pan Jan, posiadacz przekazanej dziedzicem (przez rodzinę żony) ziemi — szlacheckiego „warsztatu pracy”. Prus pokazuje czytelnikowi, co stało się z tym „warsztatem” w rękach typowego reprezentanta uprzywilejowanej klasy. Postępujący proces rozkładu folwarku obserwujemy oczami *Anielki*, która z naiwnym realizmem notuje fakty, nie zdając sobie sprawy z ich przyczyn. Należy podkreślić, jak specjalną funkcję w utworze pełni ta dorastająca dziewczynka, nie przyjmująca obyczajowych norm, ocen i nawyków swojej sfery w spojrzeniu na otaczający ją świat ludzi i rzeczy. Prus z niezwykłą wnikliwością odsłania nam świadomość dziecka, którego nie uformowały jeszcze klasowe konwencje, które boleśnie samodzielnie dochodzi do wiedzy o świecie, które wprowadzić nie potrafi; przeciwstawia się nieludzkemu bezsensowi życia swoich najbliższych, ale zaczyna bezsens ten odkrywać nie umiając znieść jego ciężaru. Prus kreując postać *Anielki* niekiedy poświęcał nawet prawdę psychologiczną bohaterki, której dojrzałość przerasta trzynastoletnie dziecko na rzecz jej funkcji demaskatorskiej w stosunku do otaczającej rzeczywistości, ściślejszej własnej rodziny, jej postawy moralnej i społecznej. Mimo iż *Anielka* odczuwa nadciągającą katastrofę pod kątem losów własnej rodziny, w jej świadomości przełamuje się to zagadnienie również w kategoriach społecznej oceny: „Ludzie, woły, a nawet ziemia giną... Ludzie jeszcze odedają, ale już woły chyba zdechną, a co będzie z ziemią?... czyżby i ona miała umrzeć z głodu?... Czyżby przestała rodzić zboża i zioła, karmić drzewa i ptaki?... Wtedy może nadejdzie chwila, w której pusty dwór otoczony szczerniałe badyle i konary ogolone z liści?... Ich ziemia umrze!... jaka straszna myśl! To chyba i oni wszyscy umrą: ojciec, matka, Józio, a najpierw ona sama, aby nie widzieć zmartwiałych ludzi, zwierząt i przedmiotów.”

W tej wypowiedzi dziecka, kochającego w sposób instynktowny życie, Prus zawarł społeczną ocenę postawy szlacheckiego posiadacza. W jego rękach ziemia przestaje być rodzic, świat pozostających w tym kręgu ludzi i rzeczy skazany jest na zniszczenie. W każdej krytyce zakłada się możliwość poprawy

krytykowanej jednostki czy klasy. Tę rolę rodzaju krytyki w *Anielce* nie znajdziemy. Bohater opowiadania postawiony jest w stan nieodwołalnego oskarżenia a w nim potępiona jest i klasa, która taki wzór osobowy, dany w portrecie p. Jana, stworzyła. Ostatecznym więc wnioskiem, jaki utwor narzuca jest sugestia, że ta klasa marnująca „rolny warsztat pracy” — dobro całego narodu, powinna zejść z pola historii — taki był w swojej krańcowej konsekwencji sens ideowo-artystycznej wypowiedzi *Anielki*. Sens zacieran przez burżuazyjną krytykę, która w utworze chciała widzieć tylko psychologiczny portret trzynastoletniego dziecka, która podziwiała naturalny wdzięk tego portretu, przechodząc do porządku dziennego nad istotną treścią dzieła.

Wspomnieliśmy, że postać *Anielki* w kompozycyjnym założeniu utworu spełniała przede wszystkim w sposób artystycznie przekonujący rolę strony demaskatorskiej. W oczach dziecka, jak w bajce Andersena, odsłoniła się prawda, że w rzeczywistości „król jest nagi”. Narzucone przez pisarza losy bohaterki nasuwają jednak jeszcze dodatkowe wnioski. Autor doprowadzając jej dzieje do tragicznego rozwiązania, określił wymownie sytuację cennej wartościowej jednostki, którą niszczy własna uprzywilejowana klasa wówczas, gdy jednostka ta nie godzi się wewnętrznie na cały system społeczno-moralny, stworzony przez ludzi jej sfery. Gdy nie ma możliwości wyrwać się z własnej klasy, ginie w dusznym trującym klimacie fałszu i okrucieństwa. Taka jest wymowa finału opowiadania.

Czy Prus kształtując ponury obraz klasowego społeczeństwa z jego fałszem i brakiem wszelkich ludzkich uczuć nie dostrzegł w nim pozytywnych sił, zdolnych odczuć piękno moralne dobrego człowieka? Za opórkami rozpamiętującego się folwarku czeka wieś głodna ziemi, tuż obok ogrodu „pańskiego” stoi chłupa Gajdy, który dla dziecka jest wrogiem dlatego, gdyż sytuacja historyczna uczyniła z niego gospodarza na skromnej ale wła-



snej parceli, obdarza go klasową nienawiścią, że z folwarcznego parobka stał się człowiekiem, że wyrwał się spod pańskiego, feudalnego ucisku. Ten właśnie Gajda oglądający z okien szlacheckiego dworku skupia na sobie całą wrogość, jaką czuje do wyzwoleńcy z pańszczyzny wsi potomek dziedziców batowych chłopskich plecy, traktujących poprzez wieki chłopca jako swoją własność.

Jakie cechy pisarz pokazał w tym drobnorolnym przedstawicielu gromady? Gajda jest człowiekiem o dojrzałej świadomości klasowej. Ten ciężko pracujący na skrawku ziemi chłop, broni interesów całej gromady przeciwko ewentualnemu nabywcy dworu przez kolonistów niemieckich. Forma podjętej przez niego walki jest oczywiście naiwna, spalenie budynków gospodarskich nie zapobiegło by klęsce. Ważne jest jednak, że jego zamach „na dwór” nie jest aktem jednostkowej zemsty, ale czynem podjętym świadomie w obronie żywotnych interesów wszystkich chłopów przy dworskiej wsi.

Ten prosty, jak toporem ciosany chłop, potrafi odczuć moralne piękno *Anielki*, z narażeniem własnego życia wyniesie ją z płonącego dworu podczas gdy jej własny ojciec, szlachecki potomek całym swoim postępowaniem skazuje ją na śmierć. Skontrastowanie tych dwóch postaci nie mogło być przypadkowe. W nim się wyraził stosunek pisarza do klasy wyzyskującej i do klasy wyzyskiwanej. Autor w *Anielce* stanął całym sercem po stronie tej ostatniej. I w tym się wyraziła wielka dojrzałość ideowa przyszłego twórcy *Lalki*.

Leonard Sobierajski

EDWARD POCHROŃ

W Smoniowicach trwa walka*)

W Smoniowicach czytają prawie wszyscy młodzi i starzy.

W II etapie konkursu czytelniczego ZSCh Smoniowiczanie czytali przeważnie powieści z okresu pozytywizmu. W ankietach powtarzają się takie tytuły: „Antek”, „Janko Muzykant”, „Za chlebem”, „Placówka”, „Mała”. Szlusznie pisała Zofia Szprokoff w 17 (403) numerze „Wiś”: „ofensywa akcji czytelniczej z nową pozytywną w rękę spełniła swoje zadanie, ale równocześnie umocniła smoniowicki ideał indywidualnego bogacenia się”. Chciałbym p. szprokoff te uwagi Szprokoff, jakie poświęciła wyprawie, które świadczy, że ich autorowie już przezwyciężyli ten „smoniowicki ideał indywidualnego bogacenia się”. Przypatrzmy się im.

Manterys Mieczysław jest przewodniczącym kółka miczurinowskiego w Smoniowicach. Czyta dużo fachowych książek, Miczurina zna prawie całego. Na razie jeszcze do spółdzielni nie zapisał się, chociaż widzi, że ma wielką ochotę. Ale ona jest jeszcze nie przekonana do spółdzielni, chociaż, gdyby tak więcej z nią rozmawiać, zachęcać to kto wie...

Wahają się również Bielawski Piotr, przodownik II etapu czytelnictwa, Budzyn Franciszek. Słotyś Pabianczyk też jeszcze nie powiedział ostatniego słowa. Chociaż mówi, że on i tak nie pozostanie na gospodarstwie, gdy nastanie spółdzielnia, że jako ślusarz pójdzie do przemysłu. Ale nie wiem, czy jego żona zgodzi się na to. Zresztą Pabianczykowa jest w tej chwili na pewno dalej posunięta w rozwoju niż jej mąż. Jej wypowiedzi o życiu wsi były bardziej „ogniste” niż Pabianczyka. Ma ona jaśniejszy pogląd na bieżące sprawy aniżeli mąż, np. jeśli idzie o sprawę Kulczyckiego to ona potrafiła już wyrobić sobie swoje zdanie. Jej zdaniem źle się dzieje teraz w Smoniowicach, chłopci powinni skupić się wokół nauczyciela Zdenkowskiego, który tyle dobrego zrobił dla wsi, a nie iść za Kulczyckim.

A teraz przypatrzmy się niektórym z tych, co już są członkami Komitetu Założycielskiego.

Dom Łoja Kazimierza jest lichi, pokryty postrzępioną strzechą.

Łój może mieć jakieś 45 lat. Wygląda na ruchliwego chłopca, który nigdy spokojnie nie usiadł, zawsze musi coś robić. Nawet że siowami się spieszy i trzeba się dobrze wsłuchiwać w jego szybkie mowę, aby go zrozumieć. Ma dwóch synów w wieku szkolnym. Pola nie posiada dużo. Trzy morgi najgorszych nieużytków we wsi i 0,86 ha możliwej ziemi.

Kazimierz Łój napewno już się nie cofnie z obranej drogi. Dosyć nabrał się go bieda na wyrobnictwie chlebie, aby miał się bać spółdzielni. Mimo że żona jest niechętna spółdzielni, on się nie cofnie. A Łojowa „wygadanie” ma dobre i trzeba dużo silnej woli, aby suchać spokojnie jej wyrzutów i narzeków.

Łój z zapalem opowiada, jak „Przedwiośnie” Zeromskiego pomogło mu w dojściu do spółdzielni. — To tak wiesz, jakem się czytał „Przedwiośnie”, a nieraz i żona głośno mi czytała, to m. s. słuchał i rozmyślał nad losami tego Baryki młodszego. Kiedy my czytali o tym, jak on wziął to złoto i skarby zakopane przez matkę i oddał rządowi bolszewickiemu, to m. s. pomyślał: jeżeli on mógł oddać dla ojczyzny takie skarby, czy ja nie mogę oddać tych paru morgów lichej ziemi? — I to jeszcze dla siebie? I wziąłem i zapisałem się do spółdzielni.

Pluta Kazimierz też się nie cofnie. Przedtem wahał się, ale teraz już się nie cofnie. Jego słowo, to stał.

KONKURS

na wodewil, monolog i skecz wiejski

Mając na względzie rozszerzenie estradowego repertuaru o problematykę wiejską, Państwowa Organizacja Impres Artystycznych „ARTOS” i Związek Literatów Polskich ogłasza konkurs na wodewil, skecz i monolog, które poruszaćby zagadnienie nurtujące współczesną wieś polską.

Autorzy powinni uwzględnić warunki techniczne, w jakich pracują 4, 5 i 6 osobowe (łącznie z akompaniamentem) obiadowe zespoły estradowe, nie pozwalające na przewożenie dekoracji, rekwizytów itp.

Przewidziane są następujące nagrody za wodewil wiejski:

I — 12000 zł.

II — 7000 zł.

III — 5000 zł.

Cztery dalsze nagrody po 2000 zł.

Przewidziane nagrody za skecz i monolog:

I — 2000 zł.

II — 1000 zł.

III — 500 zł.

Prace zaopatrzone w godło oraz w osobną kopertę zawierającą nazwisko, imię i dokładny adres autora należy nadsyłać w nieprzekraczalnym terminie do dnia 1 października 1953 r. na adres: Warszawa, ul. Senatorska 13-15, P. O. I. A. „ARTOS”, Centrala, dopisując z lewej strony koperty: Konkurs na wodewil, monolog i skecz wiejski.

„ARTOS” zastrzega sobie prawo pierwszeństwa wykorzystania prac nagrodzonych i nadesłanych.



Najmłodszy czytelnik Smoniowic

On też naharował się dość. Na 6 hektarach wychował siedmioro dzieci — pięciu synów i dwie córki. Pięcioro już pracuje samodzielnie, dwóch najmłodszych synów zostało jeszcze przy rodzicach. Najmłodszy nawet do szkoły jeszcze nie chodzi.

— Panie, ja myślę, że jak w spółdzielni będzie umiał czeleć robić, to będzie wszystko dobrze. Ale z tym jest trudna sprawa. Młodzi uciekają z wsi i zostają sami starzy do roboty w polu. I ja też z tym synem, co chodzi teraz do szkoły powszechnej, muszę się obchodzić delikatnie. Odgrzą się, że pójdzie do Huty.

Pluta jest już starym czytelnikiem. Długo musiałem słuchać jego opowiadania o „uciesznym” romansie rosyjskim przeczytanym jeszcze przed wojną. Z detalami opowiada „porwijając” historię o porwaniu przez jakiegoś księcia Wasyli pewnej damy. Kochanek przewoził kochankę na saniach i innymi środkami lokomocji z Francji na Syberię. „Ucieszny” romans nie miałby końca, gdyby nie wrócił z pola syn, gdzie wywoził furę gnojny. Trzeba naładować nową.

Po odejściu syna znów rozmawiamy o przeczytanych książkach. Pluta przeczytał między innymi „Szość Wołokolamską” i „Czapajewa”. Jeszcze nawet nie oddał tych książek do biblioteki.

— Podobno mi się u nich — mówi Pluta — to, że do żołnierza radzieckiego podchodzi się po ludzku. I taki żołnierz robi wszystko. Trudniejsza sprawa będzie z innym członkiem Komitetu Założycielskiego — Władysławem Głową. Nie rozmawiałem z nim, bo ostatnio unika obcych ludzi.

Głowa Władysław ma 3 ha, jest bezpartyjny, nie ma własnego konia. Do spółdzielni zgłosił się pierwszy Ziołyż już też deklarację do partii, ale ostatnio zaczął się wahać z wstąpieniem.

Dlaczego? Kiedy Głowa zapisał się do spółdzielni, wyznaczony do pomocy sąsiedzkiej Michał Kulczycki odmówił mu wypożyczenia koni. Podczas zebrania gromadzkiego poświęconego omawianiu dufogalowego zobowiązania 1-Majowego Głowa zajął się Zapytany, dlaczego nie przystępuje do zobowiązania, które podjęło 23 gospodarzy, odpowiedział:

— Bo w or... nie wiem, czy zasieję tego roku. Kulczycki kiedyś powiedział, że jestem za spółdzielnią, odmówił mi koni.

Michał Kulczycki, inicjator 1-Majowego zobowiązania Smoniowic, na takie dictum podszedł po zebraniu do Głowy i sam zapytał go, na kiedy trzeba mu koni Odtąd między Kulczyckim a Głową zapanała przykładowa zgoda. Kulczycki pomaga Głowie, ale i Głowa nie dowiaduje się co jest z jego deklaracją. Walka o Władysława Głowę trwa.

Dlaczego tylko 52 ankiety wypełnili Smoniowiczanie w III etapie konkursu, chociaż książek przeczytano nie mniej niż w II etapie?

Sprawa jest bardzo zawiślana i trudna. Dopóki Zdenkowski nie stawiał sprawy założenia spółdzielni, całe prawie Smoniowice szły za nim. Teraz część odsunęła się od nauczyciela. Zawalił wojewódzki aktów, który nie znając dobrze zagadnień i ludzi, na jednym z zebrzań postawił sprawę spółdzielni kategorycznie: tak czy nie? Przystępuje albo nie przystępuje. Większość chłopów przestraszyła się i powstał tylko Komitet Założycielski złożony z 4 osób. Trzech partyjnych i jeden bezpartyjny. Aktyw powiatowy i wojewódzki również i teraz nie udziela pomocy i poparcia nowym spółdzielcom i aktywowi, skupionemu wokół Zdenkowskiego, który prze do spółdzielni.

Michał Kulczycki jest średnio-rolnym — 6 ha. Przyszłość ma nie-źleby czysta. Zaprzępaszenie gromadzkich pieniędzy, za które samorzutnie kupił sztandar dla Mikołajczyka („na który Mikołajczyk nasra!” — jak powiedział na zebraniu jeden chłop, przed wojną i za okupacją niezbyt sprawiedliwie rządził, gdy do Smoniowic nastał Zdenkowski i zaczął prowadzić akcję czytelnictwa i pracy kulturalnej, kopął pod nim dołki i teraz też kopie — oto lista plan na przyszłość Kulczyckiego).

— Ale z drugiej strony: bardzo chętnie pracował przy zwózce materiału na dom kultury, teraz zainicjował piękne zobowiązanie 1-Majowe.

Ciekawe jest, dlaczego Kulczycki wystąpił aktywnie w chwili, kiedy zaczęła się walka o spółdzielnię, której jest wrogiem, dlaczego tak radykalnie zmienił postępowanie w stosunku do Głowy? Czy nie chodzi tu o przeciwdziałanie inicjatywie aktywu partyjnego ze Zdenkowskim na czele, który prowadzi gromadę na drogę spółdzielczości. Smoniowiczanie jeszcze sami nie wiedzą, co myśleć o Kulczyckim, czy jego czyny są zgodne z postawą wewnętrzną. Charakter chłop ma trudny.

Prawdziwe oblicze Kulczyckiego wyświetli najbliższa przyszłość, gdy znów stanie sprawa spółdzielni.

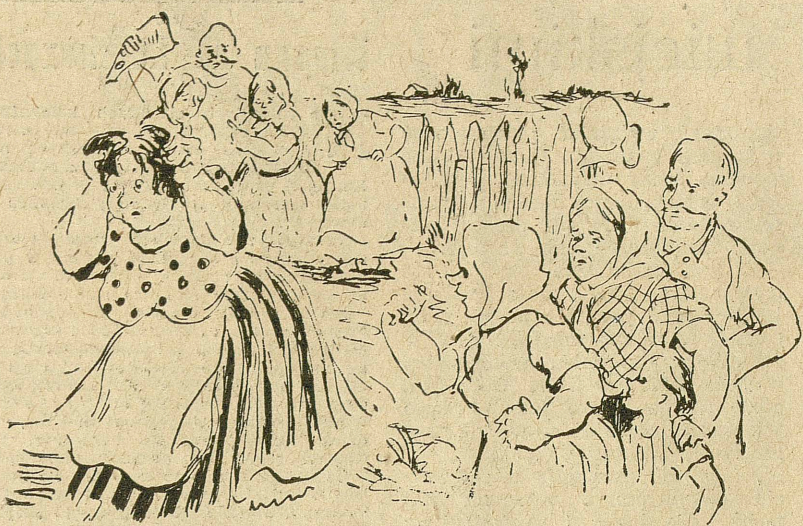
Kiedy o Zdenkowskiego część gromady odsunęła się po nieudanej próbie założenia spółdzielni, przestano wypełniać ankiety czytelnicze. Wysiano do Miechowa tylko 54 ankiety, gdy w II etapie 169. Aktyw Kulczyckiego albo odradzał ludziom, żeby nie wypełniali ankiet, albo zachował się obojętnie z racji swych funkcji. Niektórzy z jego ludzi powinni byli aktywnie zająć się ankietami. Na przykład w ogóle nie działała komisja ankietowa, w której skład wchodził m. in. słotyś Pabianczyk, stronnik Kulczyckiego.

Puszczono też plotkę, że kto podpisze ankietę, to jakby podpisał deklarację do spółdzielni. Wielu naiwnych dało się nabrać. Jest coś w całej tej agitacji przeciw wypełnianiu ankiet. Kilku chłopów przeczytało m. in. „Pamiętkę z Celulozy”, a nikt nie wypełnił z niej ankiet.

Mimo, że w Smoniowicach wypełniono tylko 54 ankiety, nie oznacza to, że zmniejszyła się ilość czytających. Nie, zmieniała się tylko sytuacja polityczna. Chwilowo osłabił najbardziej uświadomiony aktyw. W zaciągu pionierów wyjechało ze Smoniowic 12 zetempowców z przewodniczącym Kola. Wawrzynem na czele. Ale aktyw ten na nowo zbiera się do walki. Idzie o to, aby pomóc im, aby pomóc nauczycielowi Zdenkowskiemu, który w tej chwili czuje się trochę osamotniony — apel do aktywu powiatowego w Miechowie i wojewódzkiego w Krakowie. Jestem przekonany, że mimo wszystkich trudności, załamania i potknięcia jesienią tego roku w Smoniowicach między zostaną założone.

Edward Pochroń

*) Patrz artykuł Zofii Szprokoff, „Przypatrzmy się Smoniowicom”, *Wiś* Nr 17 (403).



Rys. B. Horską

WOJCIECH DRYGAS

Bitwa o szkołę

Jednej nocy Kulebiaczka zobaczyła we śnie rodzinne papiry, w których zamierzala zaznaczyć zbliżający się fakt swego powtórnego zamążpójścia. Śnio jej się, że podkasała uroczyste koronkową koszulę, założyła nogę na nogę i poczęła przeglądać po kolei pozostałe papierzyki. Była ich cała moc: metryka urodzenia, świadectwo szczeniaka, ojcowski zapis, metryka ślubu wraz z intercyzą zawartą z pierwszą jej mężem, zacytowaną od pieciu lat spoczynającym w grobie Franciszkiem Kulebiakiem, orzeczenie weterynarza w sprawie końskich zębów, polisa ubezpieczeniowa od pożarów, jakieś wezwanie płatnicze (Kulebiaczka nigdy bez wezwania nie płaciła!) oraz, co najważniejsze, stary kalendarz w teksturowej oprawie, gdzie wszystkie ważniejsze zdarzenia rodzinne Kulebiaczka spisywała z gorliwością pisarza sądowego.

„Dzisiaj, dnia 23 marca, przysłała mi znowu wezwania, cobym odstawiła te trzy tuczniki, tonę zboża i ziemniaki, a także samo uregulowała podatki, ale ja nie głupia, bo gospodarke przepięknie tak na niby krewniakom, co się na tych matornych robiu i państwu ożęże figa z makiem, a Ty, moja ukochana patronko, dobrze się staraj i pilnuj tego interesu Amen!”

„Zawarłam z gromadą kontrakt na wydzierżawienie im jednej izby gdzie chcą mieć szkołę, aż nie wykończą nowego budynku, zapłacił bez targowania komorne za pół roku z góry, a Ty, cudowna patronko moja dopilnuj, coby dzieciaki roboty u mnie po lekcjach w ogrodzie i przy burakach. Amen!”

I wreszcie biegle długie zdanie co wiersz odwołujące się do niebios. Świadomość, że znów nadchodzi dzień, który żąda od niej, by nowym postanowieniem matrymonialnym zawzięła po raz drugi na dziejach swej starożytności, napędziła Kulebiaczkę poczuciem odpowiedzialności.

„Stara się o mnie jeden Walenciak, bardzo szanowany gospodarz z sąsiedniej Tworawiny, jego hektary i moje hektary — to razem 42 hektary, 5 koni, 10 krów z przychówkiem i sporo innej gadzin, przykuj go do mnie galancie moja słodka patronko, żeby mi marowała się jak Ty bez chłopca i sama się użerała z ludźmi, albo podatki i te inne powinności regulowała. Amen!”

Zaledwie przełotnie wspomniawszy Walenciaka, wszystkie swoje zły myśli skupiła na osobach swatów. Wczoraj pili na intencję jej nowego małżeństwa. Wszyscy byli bardzo weseli. Ale kiedy doszło do omówienia szczegółów przyszłego związku i zaczęto liczyć, swatowie okazali się wielkimi w ognieściu sęści. Mnożyli, dzielili, dodawali, odejmowali i w końcu postawili Kulebiaczce ultimatum, którego główne artykuły przedstawiały się następująco:

Kulebiaczka podzieli fikcyjnie gospodarstwo, lecz nie między swoich krewnych, a między krewnych Walenciaka; dochodami dzielić się będą pół na pół, z tym, że wszelkie dodatkowe zyski, wynikające z machinacji fikcyjnego podziału, przechowywać będzie prawowita właścicielka; z wydzierżawionej gromadzie izby Kulebiaczka usunie natychmiast szkołę, bo nowi lokatorzy muszą mieć wygodę; w razie odmownej odpowiedzi Walenciak rezygnuje z ożenku; pozytywna stworzy trudne fundamenty ich szczęśliwego pożycia małżeńskiego, a ponadto Walenciak ureguluje dług Kulebiaczki wobec państwa, choć nie jest on bity w ciemie i dobrze wie, że posiada ona w zapasie dość żywności, a kartofli, tylko chce się wymigać, ale niech tam...

Następnej nocy zjechała do Imielina rodzina Walenciaka: dwie młodsze siostry z mężami i przychówkiem, stara babka, tysi stryjek i wujenka. Kobiety zawitały do miejsca chałupa Kulebiaczki, mądrzyły się w kuchni i obejściu gospodarstwu. Mężczyźni zainstalowali się na stałe w wydzierżawionej gromadzie izbie. Nie można im było nie zarzucić. Byli to bardzo przyzwoici ludzie. Nie ruszając wcale ławek szkolnych rozłożyli pod ścianami wywka i trochę betów i zaczęli mieszkac. Najpierw przepali się, od rana zaś uciegli sobie partyjkę.

Jak zwykle w tym dniu pierwsza lekcja pościuena była arytmetyce. Do ostatniej chwili nie podparło nauczyciela, że w klasie nastaly nowe porządki. Odnotowała

co potrzeba było w dzienniku, sprawdziła obecność swoich pupilów i przystąpiła ochotczo do pracy.

— Ile jest dwa razy dwa? — rzuciła w powietrze i już miała wywołać po imieniu Zosię od soltysa, kiedy z końca izby ozwały się tułalnie:

— Cztery!

— Wino?

— Nie, żółte!

Nauczycielka drgnęła, uniosła głowę, lecz przypuszczając, że mogła równie ulec złudzeniu, dodała karcząco:

— Tylko nie podpowiadajcie tam z kątów. Ona sama wie... — i niezmienionym tonem ciągnęła: — Sześć podzielone przez dwa jest ile?

— Trzy dzwonki! — zapłato wesoło z ostatniej ławki, dając nauczycielce do zrozumienia, że nie uległa ona poprzednio żadnym halucynacjom.

— Ten, kto to powiedział, niech wstanie — zdecydowała surowo i w tej samej chwili wypadło jej z rąk pióro. Zamiast skrzeszonego oblicza małego łobuziaka dojrzała unoszącą się powoli w górę tęgą czaszkę i wazy zasłaniające wargi i podbródek.

— Przyprowdzisz tu zaraz swoją mamę... — wykrztusiła i przyzwycajenia, lecz zaraz się poprawiła: — Co to ma znaczyć, obywatelu? i dodała: — Zebranie komitetu rodzicielskiego odbędzie się dopiero wieczorem...

— Wieczorem? — skrzywił się tystryjo. — To bardzo źle, że wieczorem... Wieczorem to ja się chcę rozłożyć z betami i niech mi wtedy żadna cholera nie przeszkadza w spaniu. Co innego teraz, kiedy nie śpię. Może panna sobie dowoli rachować, bo mi to wcale, a wcale nie przeszkadza...

Nauczycielka zdrewniała ze zgrozy i upłynęło wiele sekund zanim utrwaliła się w przekonaniu, że najlepszą rzeczą będzie zaalarmować gromadę. Zaraz też przybiegł soltys i kilka obrotniejszych kobiet. W ogólnym tłumie jakiś powstał górowała piskliwie Kulebiaczka.

— Ja łamię kontrakty? Ja? Ja nie taka, żeby je łamała! Pokażcie mi jeno soltysie, gdzie w tym kontrakcie powiedziane, co mi nie wolno było użytkować tej izby? Gdzie?

— Możem i nie dopisał tego czy owego — denerwował się soltys — ale żeby tak zaraz... A nie! Kulebiaczka, to nieładnie! To nieładnie! Więcej poczucia obywatelskiego, delikatności więcej! — tu przedstawiciel gromady odrzucając polę kurtki zaczął chrząkać i marszczyć się, jakby miał niejedno jeszcze do powiedzenia.

Zastąpiły go bardziej wymowne przedstawicielki komitetu rodzicielskiego Grządkowa i Dąbkowa, które dorozumując do zgłębka kilka ogólnych uwag o wydrępowaniu oczu, wyrzucaniu kudłów i bicie pokrzywami, na ostatek urzasnęły z proroczą przenikliwością:

— To ładactwo po trzykroć bokiem ci wylezie! Bokiem ci wylezie krzywda naszych dzieciaków, zanim pianie kura usłyszysz...

Było to hasło bitewne. Za moment towarzystwo na ziemi powiekowało się o dalsze cztery osoby. Takiego naporu, rzecz oczywista, Kulebiaczka znieść nie mogła! Odczuwając naciąganie, że nieoczekiwani przeciwnicy pozbawiają ją systematycznie odzieży wierzchniej i spodniej i grozi jej popalenie grzechu śmiertelnego przeciw skromności, wyciągnęła w stronę soltysa rozczapierzoną dłoń:

— Ratuj, obrońco uciśnionych! Na Adama mnie robia!

— A jak będzie z izbą, Kulebiaczka? Jak?

— Oj, życie, życie! Już spódnicy nie mam... Weźcie izbe!

Było to wyzwanie klęski, co bokiem wylazła! Pierwszej spośród trzech wyprorokowanych ustami Grządkowej i Dąbkowej z komitetu rodzicielskiego. Na pozostałe nie trzeba było długo czekać. Zanim jednak pojawiły się niby jakiś huragan, dobiegł tydzień czwarty i nowy budynek szkolny stał już pod dachem. Wspólnymi siłami całej gromady tynkowano na biało ściany. Soltys przestał przejmować się na lekcji arytmetyki, przedstawicielki komitetu rodzicielskiego krzywdzą dzieciaków, z Kulebiaczka schudła i straciła swój kwintyczny wygląd. Państwo upominało się o tuczniki, Walenciak nie dawał znać, jego krewniacy robili co im się żywnie podobało i wcale nie mieli zamiaru rozliczać się z krowich zysków. Wojciech Drygas

IGNACY GRZELAK

W wiosennej kampanii

W ŚWIETLICACH i wiejskich domach kultury obserwujemy ciekawe przemiany. Dawniej wiosna oznaczała w świetlicach początek drzemki, przechodzącej w głęboki sen aż do późnej jesieni. Teraz siewy nie pozwalają usnąć co ambitniejszym zespołom. Budzi się zdrowe zrozumienie, że w okresach wyjątkowej pracy w polu nie ma powodu zawieszania na kółku pracy kulturalnej. Jak to mówią uczeni, odrzuć nadbudowy od bazy, czyli jeszcze inaczej — ogłacać jej z nadbudowy. Człowiek pracujący wcale nie przestaje myśleć. A w takiej porze, jak siewy... Ile to gromad podjęło zobowiązania. Robota zatem robota, a „komunikaty” by się przydały, jak sobie inni radzą, ile już zasiali, kto się z kim pokłócił, ile dał za konia „wypoczynek” itd., itd.

Jakby tak np. puszczone gazetkę gromadzką, albo i gminną w obieg, chłopaki lataliby po polach z arkusikami, a chłopki kupiłyby chętnie, komiowi zadał obroku, papierosa sam zapalił i poczytał z ciekawością.

Oto w Golaszynie „redakcja” przy Wiejskim Domu Kultury jednego dnia donosiła, że w Mataszka leży od zeszłego roku nie naprawiony siewnik. Jemu wystarczy jeden, ale ten drugi przydałby się innym...

Czytając sobie te wiadomości, dajmy na to Grzelak czy Michniak, słoneczko przysusza w polu, wilgoci w ziemi nie należy utracić, a ten ci siewnik marnuje. Co ta kutwa teraz zrobi? Ten Mataszka. Naza-jutrz „Błyskawica” donosi, że Mataszka schował siewnik za stodołę. O, głupi, kręci się, ale się nie wykpiasz, chodzą ci przecie po piętach. Trzeciego dnia — „Napietowany Mataszka poczuł się wreszcie w obowiązku naprawić siewnik”.

A widzisz — duma Grzelak czy Michniak — samżeś z pola musiał zejść, choć nam chciałeś robotę utrudnić i opóźnić. A komu teraz przyszedł ten siewnik? Kuterostwa chyba nie będzie, bo ta „redakcja” pilnuje jak rzep psiego ogona, wio siwa, wiśta!

Grzelak czy Michniak mają o czym pomyśleć. Przecież ich Wiejski Dom Kultury zorganizował program artystyczny w czterech gromadach: Trzeboszy, Radzynie, Izbi i Golinie Wielkiej. Ten ci program miły dla ucha i oka miał ustawki o przygotowaniu akcji siewnej w każdej z tych wsi. Było

z czego pościć. Dostało się bowiem chytrowsom i kombinatorom, a pochwalono co przedniejszych rolników... Ale jakie tego będą skutki? Dłanie się rozusić, a przodujący chłopci zakaszą rękawy. I wyjdzie na to, że czy Golaszyn chce, czy nie chce, będą z nim współzawodniczyć, jedni gęba, a drudzy rękami. Ci z gębą to taka druga gazetka, tylko na uspak. Oni do naszej „redakcji” doniosą o wszystkim, z czym się opóźniamy, zaniedbujemy i partaczymy. Obmalują nas po czterech wsiach, a plotka pójdzie na całą gminę. Ci zaś przodujący rolnicy pokaszą nam, gdzie raki zimują i chytrowsi za ich plecami będą się chwalić Trzeboszą albo Izbią, że niby Golaszyn usadził kij w mrowisko albo jeszcze lepiej: „Ech, wy z Golaszyna, czyście zapomnieli, że kto w ul dmuchnie, temu pysk spuchnie!” Ot, taki Mataszka, zachachemci siewnik, już byśmy zyskali awans na cztery gospodarce. Byłoby rzędowe sianie w całej wsi i rychlejszy koniec siewów. Wio siwa, wiśta! Trzeba spieszyć, bo taką wieczornicę zrobić po siewach, że nosa ze wsi nie będzie można wystawić aż do samych żniw. A wtedy też, przypomną. I wstyd się człowieku znów do zi-

my. Organizacji nie ma porządnej i tyle, honor każdy ma, a do kupy nie wychodzi. Jeśli przegramy w siewach, to nam jeszcze przypomną, jak to było z samą uroczystością rozpoczęcia siewów w Golaszynie. Był zespół taneczny, odtańczył 3 tańce ludowe, był chór, śpiewał dwie pieśni, a babom tzy wycisnęli. Orkiestra zagrała. Znaczący się siew. Ważna w narodzie sprawa. Rząd na nas patrzy, robotniki, jakby nowe fabryki zaczynały swoją produkcję. A tu się okazało, że zaniedbali organizację. Nawet przedstawicieli z Gminnej Rady nie było, choć zapowiadali. Soltys musiał przemówić. A co najgorsze — że na punkt zborny tylko 9 chłopów przybyło z siewnikami. Takie pany, bez uroczystości zaczęli siewy, so-biepanki. Z gromadą do kupy to im nie wychodziło. A „redakcja” już na drugi dzień Golaszyn obmalowała, choć w naszym Golaszynie wychodzi. Wio siwa, wiśta! Nie trzęsł imeli Jeszcze nie koniec siewów, jeszcze będzie sadzenie kartofli. Sadzarki mamy zamówione. Jeszcze se przeczytamy, że Golaszyn lepszy od Trzeboszy i Radzyna. Wio siwa, wiśta!

Ignacy Grzelak

HORACY SAFRIN

F r a s z k i

WYKRETY KUŁACKIE

Kułak, który opóźniał się z dostawą mleka, co dzień na brak pokarmu dla bydła narzekał. Nie dziwnego. Stosując powiedzonko znane, rad by zawsze i wszędzie wykręcić się s i a n e m.

O SŁOWACH I CZYNACH SOLTYSA

P a l n ą l s ą z n i ą m ó w k ę na Radzie, Obiecinami sypał. Lecz działalnością dowiódł gromadzie, że był to po prostu — n i e w y p a l.

O ZAWIEDZIONYCH NADZIEJACH

Mieszkańców pewnej gminy doszła wieść radosna, że naprawią gościniec, skoro przyjdzie wiosna. Teraz się dowiedzieli zawiedzeni srodze, iż sprawa dróg wciąż jeszcze jest na „d o b r e j” drodze.

Gazetka gminna

BRONISŁAW MARCINEK

U BOGACZA

U bogacza wybuchł pożar...

Ludzie krzyczą: „Kot się pali!”

Na ratunek wszyscy biegli,

No i wszyscy ratowali.

Pośród zgłębku, pośród trzasku

Głos z rozpacz w niebo wiał

„Ludzie, — ludzie o ratunku!!!”

Tam się beczka w domu pali!!!”

„No ratujcie ludzkie beczki!!!”

Brzmi rozpacz glos Kotowej.

Patrzcie — ona zwariowała,

Bo wyrzyna włosy z głowy!

A oknami dym już bucha —

Lada chwila dach się zwali.

Dom się pali, a coż beczka?!

Tak ludziska se gadali.

„Wtem Kot bogacz bez namysłu

Jednym susem oknem wpada...

I go nie ma!... nie ma!... nie ma!

„oho — po nim! trudna rada!”

„A wtem bogacz wpół przytomny

Osmalony oknem wraca

W rękę mocno trzyma worek —

I z tym workiem się przewraca...

Ludzie wodą Kota leją —

Bosakiem go przyciągają —

W worku złoto brzęczy! złoto!...

No i weksle rozpoznają.

A Kotowa to złapala

Jak ta wiedźma w swoje szpony!

I już nie rwie włosów z głowy,

Ucichł jej głos przerażony.

Ludzie widząc weksle swoje

Z przerażenia rzekli z cicha:

„Oto ludzie rozpacz dla nas

Ma w swych łapach ta Kocięcha!”

Ale rozpacz nie pomoże,

Nie pomogą nam lameny,

I z nas bogacz skórę zedrze

Za kapitał, za procenty!

...tak się stało!...

Legnica

Gdy wiosna za si nie działa...

Półki trzymała zima, a następnie wiosenne roztopy — świetlica w Starym Dworze, gm. Brociec, pow. Międzyrzecz (zielonogorski) działała wcale nieźle. Kierownik — koleżanka Kuligowa, prowadziła energicznie czytelnicy zespół, skupiała młodzież przy ciekawych audycjach radiowych, urządziła wcale udane dyskusje, a nawet — smodzinę występy artystyczne młodzieży.

Tymczasem nadeszła wiosna, zapachniały pierwsze kwiaty, błysnęło słonko i stała się rzecz straszna. Część stałych uczestników świetlicy zamieniła się częściowo w marcowe koty. Wcale nie żarty! Koleżdy: Kucina, Wesoly, Sosulski, Raczyński i koleżanki: Chmurzyńska, Burakiewiczówna, Lignarówna i Nowakówna przestali uznawać elektryczność, chociaż się po kątach świetlicy, wzdychając do siebie, miauczą tęsknie jakieś zagraniczne melodie.

Sprawa polega na tym, że nie są oni już ZMP-owcami, a równocześnie nie

Jan Biegała

Zbawienny remont

W samej świetlicy jedyną dekorację stanowią napisy ostrzegawcze w rodzaju: „Pamiętaj! — nie tańcz, zwłaszcza oberków, bo się podłoga zawali!” „Nie gromadź się w jednym miejscu, podłoga się żywi obywateli, którym możesz spaść na głowę”. „Chcesz poderwać byt materialny swojej gromady — skacz draniu a wraz z podłogą zniszczysz i sufit GS”. Razem coś ze 30 takich ostrzeżeń.

Oczywiście w Kandydacie nie odbyła się ani jedna akademii i ani jedna zabawa. Chociaż — nie! Gromada ma już nową świetlicę w świeżo wyremontowanym domu, gdzie świeciła Świątla Pracy. A poszczególni jej dątego, że zrozpaczeni chłopcy zgromadzi się na pietkę i spali akurat na głowę referenta kulturalno — oświatowego PRN w Gorowie (woj. Olsztyn), który zjawił się niespodziewanie po haczyki do wedek Zrzeszenia był tak wielki, że obudził nawet Przemyśl PRN, które natychmiast wyasynowało kredyty na ów zbawienny remont.

Piotr Pigwa

15 razy — nie

Czy można opowiedzieć prawdziwą historię, w której każde zdanie miałoby jakieś zaprzeczenie? Wygląda na to, że sztuka prawie niemożliwa do wykonania. A jednak — zawiązując zetem-powcom z gromady Jurkowiec, pow. Sandomierz, woj. kielecki — możemy spokojnie takie prawdziwe opowiadanie napisać.

Istnieje w Jurkowiecach koło ZMP, ale od roku nie było ani jednego zebrania. Nle zwolnić ich po prostu przewodniczący kol. Broziński Ryszard. Tak więc dla kogoś nie prowadzi żadnych prac. Dia przykładał podaje-my, że ZMP-owcy posiadają wprawdzie swoją bibliotekę, ale instytucja ta nie pracuje. Nie ma kto organizować czytelnictwa, ponieważ nie postarano się o bibliotekarza. Nikt tu nie słyszał o dyskusjach nad książkami, nie wie, co to jest zespół planowego czytania, nie domyśla się nawet, że ZSC prowadzi wielki konkurs czytelnicy. Słowem nie najlepiej toczą się sprawy w Jurkowiecach.

Nie inaczej w gminie. Gminny przewodniczący ZMP jest nie byle kto, bo sam ob. Szemraj Tadeusz. Nie sposób znaleźć w okolicy ludzi, którzy zaświadczyliby, że widzieli przewodniczącego w terenie. Nie mogli zresztą

zamienili się całkiem w koty. Jacy z nich bowiem ZMP-owcy, skoro oderwali się od rzeczywistości, stworzyli własny zarząd, zabrali podstępnie klucz do świetlicy i odbywają w niej obslubiwe „próby” przy drzwiach szczelnie zamkniętych. Wiadomo ogólnie, że próby te polegają na wzajemnym obcałowowaniu się i podrygiwaniu w taki fokstroń. Z tego właśnie powodu, że tańcza, nie są w pełni kotami, choć tak dobrze czują się w ciemnościach. Nawet szkoda, że to już nie koty. Można by było wtedy włączyć mocnego kija porządnego, bez skrupułów przetrząpać skórę. A poza tym kotom marcowanie po pewnym czasie przechodzi. Czy przejdzie naszej ośmecie?

Na to pytanie odpowiem i to pozytywnie. Powiatowy Zarząd ZMP, jeżeli nie chce, byśmy i jego posiadali o nadmiernej cie-głości wobec wiosny.

Jan Biegała

SEWERYN SKULSKI

PIOSENKA

MIGIEM ZROBIONA

Było to tak. 24 kwietnia nieścisły zebranie Frontu Narodowego, na zebraniu tym jako gromada na cześć Święta Pierwszomajowego podjęliśmy uchwałę, aby starszym wiekiem i podupalemu na zdrowiu ob. Ciecierzewi wykonać zupełnie bezpłatnie wiosenną pracę na jego 4 ha. Potem następowy indywidualne zobowiązania, ja należałem do tych, którzy postanowili przed dniem 1 maja spłacić drugą ratę wiosennego podatku gruntowego. Rozsądkowo, z moją starą w domu i jakos się znalazło na ten podatek. Wsiadłem na rower i jechałem do soltysa z podatkiem, mijam budynek remizy, a tu ktoś woła:

— Hej, obywatelu korespondencie, nie macie jakiejś piosenki wiosnej za paczka? Jedziemy do wojska, śpiewać nam się chce, a żaden z nas wiosnej piosenki, takiej jeszcze nie śpiewanej, zmajstrować nie umie.

Patrzę, na trzech wozach siedzi z pietnastu chłopaków z rozwianymi na wietrze czuprynami i animuszem do dowcipów. Że nigdy nie zapominał o notessie i ołowku, schodzę więc z roweru, opieram notes na deimny wóz i piszę:

Ochodzę do wojska
Od mojej jedynej,
Niecan sama Zosienka
Wyprawi te chrziny.

Potem mi doniesie
Liśdkiem z dopłatą,
Czy to jej maieństwo
Zaleskni za tata.

Nie płacz mi Zosienko,
Choć nie wniesiesz wana,
Gdy powrócę z wojska,
Ślub jest muirowany!

Niech ci się ocęta
Nie łzawia, nie chmurza,
Nie panom — ludowi,
Idę w wojsku służyć.

Jeśli będzie synek,
Daj mu imię Zdzisław,
Gdy kochasz ojczyznę,
Śmieję się jak ja dzisiaj.

Ale się zachowaj
Dla mnie jak należy,
Bo ja straszny, Zosiu,
Gdy czuprynę zjęję.

U soltysa sprawę załatwiłem migiem. Jechałem na rowerze obok wozów do Lipna po odbiór poczty, a weseli chłopcy wyspiewawali te piosenki na zabój, zaczynając wciąż od nowa ku wesołości kilkuset robotników, pracujących przy przebudowie szosy. I kilkadziesiąt dziewcząt PGR, sortujących ziemniaki — przy szosie.

S. Skulski

Nowości

„Książki i Wiedzy”

„Rola statutu w życiu spółdzielni produkcyjnej”, str. 84, cena 2,00 zł.
„Proces księdza Leitty i innych agentów wywiadu amerykańskiego”, str. 296, cena 18,00 zł.
„Proces trzech biskupów słowackich”, str. 328, cena 6,30 zł.
„Niemiecka Republika Demokratyczna na drodze do socjalizmu”, str. 328, cena 16,40 zł.
Eric Williams — „Kapitaizm i niewolnictwo”, str. 210, cena 16,40 zł.

Rola statutu w spółdzielni produkcyjnej

Statut jest podstawowym prawem życia spółdzielni. Każdy z jej członków powinien znać i rozumieć statut, przestrzegać jego zasad i wymagać tego samego od innych. Statut jest bowiem dla spółdzielni produkcyjnej tym, co dla państwa jest konstytucją. Statut jest również podstawą do wypracowania jednolitego systemu kultury mas chłopskich oraz do umocnienia sojuszu z klasą robotniczą — w walce o siłę i szczęście Polski. O roli statutu w życiu spółdzielni produkcyjnej mówi wypracowany wydany ostatnio nakładem „Książki i Wiedzy” broszura pt. „Rola statutu w życiu spółdzielni produkcyjnej”. Broszura otwiera sprawozdanie Komisji Statutowej złożonej na plenum Zjazdu przez przedstawicieli komisji i zarządów z woj. łódzkiego, woj. kieleckiego, woj. świętokrzyskiego, woj. mazowieckiego, woj. podkarpackiego, woj. podlaskiego, woj. pomorskiego, woj. śląskiego, woj. łódzkiego, woj. kieleckiego, woj. świętokrzyskiego, woj. mazowieckiego, woj. podkarpackiego, woj. podlaskiego, woj. pomorskiego, woj. śląskiego.

Ostatnia część broszury podaje dosłownie tekst czterech statutów: Rolniczego Zrzeszenia Spółdzielczego RZS, Rolniczego Spółdzielni Wytwórczej RSW, Rolniczego Zespołu Spółdzielczego RZS i Zrzeszenia Uprawy Ziemi ZUZ. Str. 94. Cena 2,00 zł.

Proces krakowski w wydaniu ksążkowym

Nakładem „Książki i Wiedzy” wydany został ostatnio w formie książkowej stenogram procesu przeciwko księdzu Leitty i innym agentom wywiadu amerykańskiego, który się odbył w dniach 21 — 26 stycznia 1953 r. przed Rejonowym Sądem Wojskowym w Krakowie. Książka podaje pełny tekst aktu oskarżenia, zeznania oskarżonych i świadków, przemówienia prokuratora i obrońcy, ostateczne słowo oskarżonych i wyrok. Str. 296. Cena 18,00 zł.

Redaktor naczelny	JAN ALEKSANDER KROL
Redaktor	Redaguje Komitet
Adres administracji:	Warszawa ul. Wiejska nr 12, tel. 7-82-50
Adres redakcji:	Warszawa ul. Starowiejska nr 7
Tel.:	Red. Nacz. 863-85, Tel. Redakcji 87061, wnetrzny 5, 73, 8
Warunki prenumeraty	
mies. — 4,60 zł kwartalnie — 13,80 zł półrocznie — 27,60 zł, rocznie — 55,20 zł	
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmuje wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze	
RSW PRASA	Warszawa Marszałkowska 3/5 4-B-14692